



JOSIE METCALFE

CZASEM WARTO POCZEKAĆ



ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Wychodzę za mąż!

Oświadczenie to, wypowiedziane tonem pełnym radości i zarazem wyzywającym, sprawiło Hope w stan przygnębienia.

Właśnie wróciła z wyczerpującego dyżuru w szpitalu i na nic już nie miała siły.

- Kiedy? - Głowa pękała jej z bólu. - Ustaliliście już datę?

- Chcieliśmy jak najszybciej, ale na razie wszystkie miejsca w hotelu okazały się zarezerwowane...

- Zrobiłaś dopiero połowę kursu. Masz jeszcze tyle...

- Liz i Anne będą druhami. Już nawet wiem, jaką będę miała suknię!

Jane jak zwykle zagłuszyła słowa, których nie chciała słyszeć.

- Jane... - Hope zsunęła buty i opadła na kanapę tuż przy telefonie. - Przyjedź do mnie na weekend, to porozmawiamy.

- Muszę teraz napisać mnóstwo prac - broniła się Jane. - Poza tym nie ma o czym rozmawiać. Oboje z Edwardem wiemy, co robimy i o wszystkim sami zdecydujemy.

Hope przeklinała dzień, w którym zabrała Jane na szpitalny koktajl, na którym zjawił się Edward Benedict. No cóż, nie można mu nic zarzucić: inteligentny, pracowity i oddany Jane, ale jednocześnie taki... niedojrzały i egocentryczny.

- Już wiemy, w którym hotelu będzie przyjęcie. - Głos Jane wyrwał ją z zadumy. - Spodoba ci się. Zarezerwowaliśmy przepiękną salę.

- Przyślij mi broszurkę reklamową, to sobie obejrzę. Na pewno kazałaś przysłać sobie mnóstwo najróżniejszych folderów.

- Oczywiście. Odrzuciliśmy te słabe i wybraliśmy najlepsze.

Czyli najdroższe, pomyślała Hope. Tak było przez cały ten rok, odkąd Jane i Edward zaczęli się ze sobą spotykać.

- Możesz mi przesłać jakieś informacje?

- Nie ma potrzeby. To tylko rezerwacja. Wystarczy dać im czek z wypisaną zaliczką.

Jane beztróskim tonem rzuciła sumę, od której Hope zakręciło się w głowie. Przecież Jane chyba zdaje sobie sprawę, jak trudno tyle zaoszczędzić z pensji pielęgniarki... A to dopiero zaliczka!

- Chciałabym jednak obejrzeć ten folder - upierała się Hope, czując, że głowa jej pęknie, jeżeli choć trochę podniesie głos. - Wiesz chyba, jak krucho jest w tej chwili z pieniędzmi. Prawdę mówiąc, myślałam, że sama przygotuję to przyjęcie.

Mało brakowało, a wykorzystałaby swoje zdolności kulinarne zamiast kwalifikacji pielęgniarskich, kiedy Jon...

- To jest mój ślub! Być może ty potrafisz cieszyć się byle czym przez całe życie, ale nam to nie odpowiada!

Hope trzymała w dłoni milczącą słuchawkę, ponieważ jej córka powiedziała już swoje ostatnie słowo.

- O Boże...

Odchyliła głowę na oparcie kanapy i przeczesała palcami krótko ostrzyżone, jasne włosy. Już wcześniej wiedziała, że jest zbyt zmęczona, by zająć się tą sprawą, ale takiego zakończenia się nie spodziewała.

- Och, Jane... - westchnęła. - Kiedy i jaki popełniłam błąd?

Zacisnęła powieki, by powstrzymać łzy. Jaka szkoda, że nie ma nikogo, kto posłużyłby radą, pomógł jej, samotnej matce, wychowywać córkę.

Podniosła się z kanapy.

- Gdyby ciocia miała wąsy, to by była wujkiem -mruknęła, podnosząc buty z podłogi, i powlokła się do sypialni.

Nie miała siły myśleć o tych koszmarnych paru miesiącach, jakie teraz nadejdą. Znając Jane, wiedziała, że o każdy szczegół będą toczyły krwawe boje.

Kiedyś było inaczej... Uśmiechnęła się blado na wspomnienie tamtej promiennej i wielkodusznej dziewczyny. Zmiana nastąpiła w tym roku, kiedy Jane weszła do grona znajomych Edwarda.

Nie byli darmozjadami: nikt z nich nie tracił czasu na głupstwa, każdy pracował, ale wszyscy sprawiali wrażenie ludzi, którzy uważają, że należy się im wszystko, czego tylko zapragną, a ich rodzice mają obowiązek te zachcianki finansować.

Sytuację dodatkowo komplikował fakt, że Edward Benedict był bratankiem i wychowankiem Matthew Benedicta, konsultanta pediatrii w szpitalu pod wezwaniem świętego Augustyna, i zarazem szefa Hope.

O ileż łatwiejsze było życie jeszcze rok temu.

Jane skończyła szkołę z niezłymi wynikami i na okres wakacji znalazła dorywczą pracę w szpitalu. Jesienią miała rozpocząć studia.

Hope z mieszanymi uczuciami powitała to zamknięcie kolejnego etapu.

Z jednej strony była dumna z osiągnięć córki, z drugiej jednak czuła smutek z powodu rozstania z dzieckiem.

Kiedyś wyobrażała sobie, że będzie miała dużo dzieci, ale tak się nie stało. Teraz, w wieku trzydziestu siedmiu lat, z żalem pogodziła się z myślą, że będzie brać na ręce już tylko dzieci ze szpitala lub - pewnego dnia - wnuczeta.

Była siostrą przełożoną na oddziale pediatrycznym i z tego powodu otrzymała zaproszenie na powitalny koktajl, zorganizowany w związku z przybyciem nowego pediatry.

- Kupisz sobie nową kieckę? - zapytała Maggie, zerkając na zaproszenie.

- Nie ma mowy! - zachnęła się Hope. - Wolę moje ciężko zarobione pieniądze wydać na coś innego niż na sukienkę, która potem będzie wisiała w szafie! Poza tym z taką figurą musiałabym iść do sklepu z odzieżą dziecięcą, a w moim wieku nie wypada tak się ubierać.

- Chrzanisz - odparła niezbyt uprzejmie Maggie. - Ja jestem od ciebie starsza.

- I masz kobiecą figurę!

Hope wymownie powiodła wzrokiem po bujnych kształtach pielęgniarki.

- Szkoda, że nie możemy się tym podzielić. Obydwe byłybyśmy zadowolone - roześmiała się Maggie.

Rozmowa się urwała, lecz Hope czuła, że koleżanka wcześniej czy później powróci do tego tematu.

Westchnęła. Ciągle ma za mało pieniędzy. Czasami wydawało się jej, że przez całe życie z trudem wiąże koniec z końcem.

Dzięki Bogu, najgorszy okres ma już za sobą. Jane skończyła szkołę i jesienią dostanie stypendium z uniwersytetu.

Po egzaminach końcowych Hope kupiła jej używany samochód w nadziei, że córka częściej będzie ją odwiedzać.

Być może teraz, kiedy nie trzeba już płacić za lekcje jazdy ani za korepetycje, to ona będzie mogła pojechać do Jane. Od bardzo dawna nie miała żadnych wakacji ani nie kupiła sobie czegoś nowego, czegoś, na co miała ochotę.

Wbrew postanowieniu, że wystąpi na przyjęciu w swojej odwiecznej, czarnej sukience, zajrzała do szafy, w której trzymała materiały i przybory krawieckie.

- Gdzieś tu był kupon zielonego jedwabiu... - Przekładała niedokończone robótki. - O, matko! - jęknęła, wyciągając ledwie zaczętą, patchworkową kołdrę. - Niedługo się do tego wezmę.

Wepchnęła ją między skrawki misia przeznaczonego na zabawki i resztki tkaniny zasłonowej.

- Jest!

Ten kupon tajlandzkiego jedwabiu kupiła na wyprzedazy wkrótce po otrzymaniu awansu. Z zachwytem wpatrywała się w głęboką, turkusową zieleń delikatnej tkaniny.

Szła przez kilka wieczorów, by na koktajlu pokazać się w eleganckiej sukni z prawdziwego jedwabiu, która kosztowała ją grosze.

- Siostra Morgan... - Hope podała mężczyźnie dłoń, podczas gdy dyrektorka dokonywała prezentacji. - Jak już pani wiadomo, doktor Benedict jest naszym nowym konsultantem.

Poczuła uścisk szczupłej dłoni, w której kryła się niespodziewana siła. Podniosła wzrok na jego twarz.

Patrzył na nią chłodnym spojrzeniem szarzielonych oczu, osadzonych w twarzy o rysach zupełnie nie anglosaskich. Miał gęste, jasne włosy, na skroniach delikatnie przyprószone siwizną. Ciemna oprawa przydawała jego oczom tajemniczej głębi górskich jezior.

- Miło mi panią poznać - przemówił spokojnym, niskim głosem.

Widok uniesionych znacząco brwi uprzytomnił Hope, że pochłonięta analizą rysów mężczyzny, ciągle trzyma jego dłoń.

Poczuła, że się czerwieni.

- Witamy w naszym gronie - bąknęła niewyraźnie i odsunęła się o krok, ustępując miejsca następnej przedstawianej osobie.

- Mam nadzieję, że będziemy mieli okazję lepiej się poznać - oświadczył na zakończenie.

Nowa nuta w jego głosie kazała jej, z niejakim opóźnieniem, wzmóc czujność. Speszona, nerwowo bawiła się ślubną obrączką na serdecznym palcu.

- Na pewno, panie doktorze - odparła chłodno.

Znieruchomiał, zaskoczony taką odprawą. Czula wyraźnie, że chce, by na niego spojrziała, lecz ona zatrzymała wzrok na wyrafinowanych, delikatnych prążkach jego eleganckiego, jedwabnego krawatu. Po chwili, dyskretnie ponaglany przez dyrektorę, podszedł do następnej osoby.

Hope rozejrzała się po sali, szukając Jane, która, wprawdzie niechętnie, lecz zgodziła się jej towarzyszyć.

- Będę sama wśród tych zgredów - jęknęła, ale zmieniła zdanie, widząc matkę w nowej kreacji.

Hope usłyszała znajomy śmiech.

Skierowała wzrok w tę stronę i zobaczyła, jak Jane zalotnym gestem odrzuca przez ramię popielato-blond włosy, uśmiechając się do młodego chłopaka przy barze. Jane w ułamku sekundy potrafiła wyłowić i oczarować najprzystojniejszego mężczyznę.

Hope przeniosła wzrok w inny kąt sali, na inną jasną głowę, osadzoną na mocnym, opalonym karku. Rzeczywiście jest bardzo przystojny...

- Zabójczy facet! - Tuż obok siebie usłyszała chichot Maggie. - Może mi nawet codziennie mierzyć temperaturę.

- To pediatra - powiedziała Hope, starając się zachować powagę. - Pediatrzy leczą dzieci, a nie dojrzałe kobiety, które zachowują się jak dzieci.

- Zapewniam cię, Hope - Maggie przewróciła zmysłowo oczami - że wcale nie chcę, żeby mnie traktował jak dziecko!

- Daj spokój!

Hope z trudem hamowała śmiech.

- O co ci chodzi? - zapytała Maggie z miną niewiniątka. - Chyba mi nie powiesz, że nie zauważyłaś, że to jest najprzystojniejszy facet w historii

naszego oddziału? Wiem, że nikogo nie masz, ale chyba jeszcze pamiętasz, co z człowiekiem potrafią zrobić hormony... Tylko na niego popatrz!

Uwaga Maggie rozbrzmiała echem w sali, w której nagle zaległa cisza. Hope czuła, że krew napływa jej do twarzy, gdy szarozielone oczy przeszły ją zimnym spojrzeniem.

Tamtej nocy spała niewiele. Po tym krępującym incydencie podczas koktajlu bała się iść następnego dnia do pracy; bała się spojrzeć Matthew Benedictowi w oczy.

Do końca przyjęcia nie miała sposobności wytłumaczyć mu, że Maggie ze wszystkiego stroi sobie żarty.

Jane, dzięki Bogu, nie zauważyła jej zmieszania; w drodze powrotnej do domu cały czas opowiadała o swojej najnowszej ofierze, stale powtarzając: „Edward powiedział...”

Następnego ranka, stojąc pod przysnkiem, Hope pamiętała z całego wieczoru tylko tyle, że ten młody człowiek nosi to samo nazwisko, co mężczyzna będący przyczyną jej bezsenności, oraz że za godzinę stanie z tym mężczyzną twarzą w twarz.

Niepotrzebnie się zamartwiała, gdy bowiem przyszła na oddział, wszyscy byli zajęci pacjentką przywiezioną z pogotowia.

Hope wzięła kartę informacyjną i przeczytała:

- Susan Allardyce, lat trzy. Wymioty i bóle brzucha. Podejrzenie: krwotok wewnętrzny spowodowany zatruciem żelazem.

- Znamy źródło oraz maksymalną dawkę? - spytał ktoś.

Serce zabiło jej mocniej, gdy usłyszała znajomy głos. Musi się skoncentrować: od tego może zależeć życie dziewczynki.

- Preparat żelaza dla ciężarnych. Sprawdzono skład i stwierdzono, że zawiera bardzo wysokie stężenie żelaza. Zdaje się, że połknęła maksymalną dopuszczalną dawkę dla jej wieku i wagi.

- Co już zostało zrobione? - zapytał pochylony nad dziewczynką.

- Badana już jest krew na poziom żelaza w surowicy. Zrobią jeszcze elektrolity, hemoglobinę...

- Grupa i zamienniki? - przerwał.

- W takich przypadkach robią to rutynowo. Domięśniowo dostała już desferal w celu zwolnienia absorpcji żelaza... Płukanie żołądka jednoprocetowym roztworem dwuwęglanu sodowego z dodatkiem desferalu.

- Kiedy będą wyniki badania poziomu żelaza w surowicy? - dociekał, podnosząc wzrok.

Hope poczuła, że znowu przesywa ją ten sam dreszcz, co poprzedniego wieczoru. Ich spojrzenia się spotkały.

- Lada... moment...

Z trudem chwyciła powietrze.

- Im prędzej się dowiemy, tym łatwiej będzie nam ustalić odpowiednią kurację. Trzeba się spieszyć, bo może wystąpić wstrząs. Im mniejsze uszkodzenia wewnętrzne, tym mniejsze prawdopodobieństwo niekorzystnych następstw.

Zadzwoił telefon. Laborant przekazał wyniki badań, obiecując przysłać ich pisemne potwierdzenie na formularzu. Doktor Benedict wysłuchał go i odłożył słuchawkę.

- Ta mała ma szczęście - powiedział z ulgą w głosie, która udzieliła się całemu zespołowi. - Czy są tutaj jej rodzice?

- W moim pokoju. - Hope odsunęła się, by go przepuścić. - Matka jest bliska rozwiązania.

- Proszę być w pobliżu, kiedy będę relacjonował stan Susan.

- Połóżcie ją na wolnym łóżku - poleciła Hope pielęgniarce, zdejmując fartuch i rękawiczki. - Po rozmowie przyprowadzę jej mamę.

- Matthew Benedict. - Lekarz wszedł do dyżurki i przedstawił się ciężarnej.

Na stole stał kubek z kawą. Kobieta pobielalymi palcami mięła męską chustkę do nosa.

- Czy Suzie...? Czy ona... umarła? To moja wina. Powinny być zamknięte w szafce, ale ja ciągle o nich zapominałam.

Kobieta zalała się łzami.

- Skądże znowu!

Nim lekarz zdążył powiedzieć coś więcej, Hope objęła ją ramieniem.

- Suzie żyje - oznajmił wreszcie.

- Naprawdę?

Kobieta powiodła zapłakanymi oczami po ich twarzach.

- Musimy ją tu zatrzymać na co najmniej trzydzieści sześć godzin, ale jej życiu nic nie zagraża. Należy sprawdzić, jakie skutki uboczne mogą jeszcze wystąpić, ale dzięki pani szybkiej reakcji na pewno nie będą zbyt poważne.

- Czy mogę... ją zobaczyć?

Hope rzuciła lekarzowi pytające spojrzenie.

- Za kilka minut będzie już w swoim łóżeczku - poinformowała z uśmiechem Hope. - Proszę tu poczekać, pielęgniarka przyniesie pani świeżą kawę. Zawiadomimy panią, kiedy wszystko będzie gotowe.

- Mogę zadzwonić do męża? Niedługo kończy zmianę i jeżeli nie zastanie nas w domu...

- Oczywiście. - Hope ujęła jej lodowate dłonie. -

Niech mu pani powie, żeby przyniósł Suzie jej ulubione zabawki.

Kątem oka obserwowała doktora Benedicta.

- Czy ma pani jeszcze jakieś pytania? - odezwał się uprzejmie.

- Nie, panie doktorze. - Kobieta uśmiechnęła się drżącymi wargami. - Dziękuję panu.

- I niech pani znajdzie jakiś lepszy schowek na leki, bo to drugie też się do nich dobierze.

Tak było rok temu. Ani razu żadne z nich nie wspomniało o dniu, w którym się spotkali.

Hope i Matthew Benedict pracowali razem na oddziale dziecięcym. Ich rozmowy nigdy nie wykraczały poza pogodę i tematy zawodowe.

Czasami Hope miała wrażenie, że sobie wymyśliła tę iskrę, która przeskoczyła między nimi tamtego wieczoru; to ciepło, które wlało się w jej palce, gdy ujmował jej dłoń; i ten dreszcz, który kazał jej nerwowo bawić się obrączką.

To była przeszłość.

Wszystko zmieniło się od telefonu Jane. Za kilka miesięcy siostra Hope Morgan stanie się powinowatą doktora Benedicta poprzez małżeństwo swojej córki z jego bratankiem.

Potrząsnęła głową. Jak szybko ten czas leci! Dopiero co z utęsknieniem oczekiwała zmniejszenia ciężaru obowiązków w związku z wyjazdem Jane, a już ją dręczy nieznośne poczucie winy.

Rano, w łazience, tylko westchnęła na widok sinych worków pod oczami. Musi znaleźć chwilę czasu na oddziale, by z nim porozmawiać bez świadków. Jeszcze tylko tego by brakowało, żeby dostali się na języki szpitalnych plotkarek.

Jednak wszystko sprzysięgło się przeciwko niej. Matthew Benedict nieustannie kursował między izbą przyjęć i salą operacyjną. Dopiero pod sam koniec dyżuru nadarzyła się okazja, by porozmawiać z nim w cztery oczy.

- Doktorze Benedict!

- Słucham, siostrzo.

Zatrzymał się przed drzwiami i czekał, aż Hope, obładowana zakupami, podejdzie do niego.

- Chciałam... Czy ma pan chwilę czasu? Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

Rozchmurzył się.

- Widziała się pani z córką?

- Nie. - Teraz Hope ściągnęła brwi. - Nie widziałyśmy się już kilka tygodni.

- To dziwne. Edward przywiózł ją do mnie na weekend. Nie poinformowali pani o swoich planach?

Okrucieństwo Jane sprawiło jej taki ból, że aż się zachwiała.

- Jane była u pana?

Hope z trudem wydobywała z siebie głos. Jej córka przyjechała tu, żeby zawiadomić opiekuna Edwarda o planach zawarcia związku małżeńskiego, a rodzoną matkę skwitowała rozmową telefoniczną, podczas której zażądała czeku.

- Ależ tak. - Uśmiechnął się. - Bardzo im zależało, żeby osobiście mnie zawiadomić.

- To miło...

- Siostrzo Hope, czy pani dobrze się czuje? - Chwycił ją pod rękę. - Jest pani bardzo blada. Coś się stało?

- Czy coś się stało? Ależ nic takiego. - Usiłowała się wyrwać z jego uścisku, zanim pokonają wybuch płaczu, ale jej nie pozwolił. - Proszę mnie puścić... Muszę iść do domu.

- Przyjechała pani samochodem? - spytał i wziął od niej torby.

- Tak. Nie. Oddałam samochód do warsztatu.
- Wobec tego odwiozę panią.
- Nie! - Szarpnęła się. - Dam sobie radę.
- Nie wątpię - zgodził się i zwolnił kroku, choć na nią nie patrzył. - Tym razem nie ma takiej potrzeby.

- Ale...
- Kobieto! - Mimo że nie podniósł głosu, wyczuła w nim rozdrażnienie. - Najpierw chciała pani ze mną porozmawiać, a teraz co chwila mnie pani gasi. Niechże się pani zdecyduje!

W tej samej chwili, gdy stanęli obok ciemnozielonego jaguara, Hope dostrzegła błyskawicę za rogami budynku.

Chciała coś powiedzieć, gdy rozległ się głuchy pomruk.

- Grzmi.
- Nie tym razem. - Roześmiał się. - To w moim brzuchu.
- Kiedy go pan karmił po raz ostatni?
- Zaczęłam jeść, kiedy wezwała mnie pani do Darrena. Mówił o ich nowym pacjencie, trzyletnim chłopcu z udarem.

- I od tej pory pan nie jadł?!

Sadowiła się na miękkim siedzeniu, niepomna, że jeszcze przed chwilą bardzo chciała być samodzielna. Poglądziła miękką, skórzaną tapicerkę.

- A pani jadła?

W milczeniu podziwiała jego mistrzowską jazdę. Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, że nie odpowiedziała na pytanie.

- Chyba też wtedy... Potem wyjadłam wszystkie herbatniki z puszki.
- To dlatego ich tam nie było, kiedy chciałem coś skubnąć! - rzucił wesoło.
- Mam jeszcze trochę w domu - zaproponowała i natychmiast tego pożałowała.

- Jeżeli będzie do tego herbata, to z radością przyjmuję zaproszenie - odparł w tej samej chwili, w której oślepiający błysk przeszył powietrze, a za nim, prawie natychmiast, rozległ się ogłuszający łoskot grzmotu.

Nim ucichło echo, lunął ulewny deszcz.

- No, mam nadzieję, że jest mi pani wdzięczna za podwiezienie do domu. - Zwolnił. Wycieraczki z trudem zgarniały wodę z przedniej szyby. - A może od tej pory woli pani radzić sobie sama?

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, zaczęła pilotować go do swojego domu.

- Nie boi się pan zmoknąć? - Odpięła pasy i schyliła się po pakunki. - Możemy to przełożyć, aż...

- O, nie! - Zgasił silnik i otworzył drzwi. - Zaprosiła mnie pani na herbatę i nie zamierzam z niej zrezygnować.

Wygrzebała z torebki klucze i pobiegła na próg.

Z trudem chwyciła powietrze. Gdy wpadła do kuchni, miała pełną świadomość, że sama siebie oszukuje, przypisując krótki oddech nadmiernemu wysiłkowi.

Zaglądając do imbryka, żeby sprawdzić ilość wody, wsłuchiwała się w odgłos zamykanych drzwi i zbliżających się kroków.

Przygryzła wargę w nadziei, że ból pomoże jej odzyskać panowanie nad sobą. Przecież pracuje z tym człowiekiem już od roku! Skąd te głupie, szczeniackie emocje?!

- Dostanę jakiś ręcznik?

Drgnęła, odwróciła się i mało brakowało, a byliby się zderzyli. Stał tak blisko, że czuła zapach mydła.

- Słucham?

- Proszę o ręcznik - powtórzył spokojnie. Wpatrywała się w kroplę wody, która oderwała się od

kosmyka jego pociemniałych włosów i powoli toczyła po nosie.

- Och, przepraszam... Już daję.

Wyciągnęła najbliższą szufladę, ale na widok starannie ułożonych sztućców z przerażeniem stwierdziła, że to nie ta.

- Hope... - W jego głosie zabrzmiała nuta rozbawienia. - Ja chcę tylko wytrzeć głowę. Nie chcę jej obciąć...

- Przepraszam, doktorze Benedict - powiedziała, podając mu ręcznik.

- Mam na imię Matthew. Albo Matt. Za kilka tygodni będziemy rodziną i byłoby głupio, gdybyśmy dalej traktowali się oficjalnie.

- O Boże!

Wróciło przykre wspomnienie tej dziwnej rozmowy telefonicznej i ból wywołany wiadomością, że Jane nie uważała za stosowne osobiście poinformować jej o ślubie. Hope gwałtownie przywołała się do porządku.

Co ty wyprawiasz?! Odpływasz do jakiejś wymyślonej, cudownej krainy, kiedy w twojej kuchni stoi ociekający wodą facet?! Przez cały rok, od tego pierwszego uścisku dłoni, nie odebrałaś od niego żadnego sygnału, że między wami coś jest!

Hope, ostrzegła siebie samą, jego obecność w twojej kuchni nie jest wstępem do niczego. Jedynym powodem, dla którego tu się znalazł, jest ślub twojej córki z jego bratankiem.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Gdy imbryk zaczął syczeć, Hope mechanicznie sięgnęła po czajniczek. Skoncentrowana na niepokojącej obecności Matta Benedicta, bezmyślnie ustawiała sprzęty na tacy.

- Przejdźmy do salonu - zaproponowała, nie odrywając wzroku od wymownie drżącej powierzchni mleka w dzbanuszk.

- Zaniosę tacę.

W jej polu widzenia znalazło się dwoje rąk.

- Nie. Dziękuję - odparła, nie podnosząc głowy. Musi się czymś zająć, dopóki on stąd nie wyjdzie.

Potem w samotności będzie mogła lizać rany jak zranione zwierzę...

- Mleko?

Dzbanuszek z brzękiem wylądował na tacy.

- Hope... - Ujął jej dłonie i zaczął się im dokładnie przyglądać. - Co się stało? Oparzyłaś się?

- Tak. Nie. Sama nie wiem...

Ku swemu przerażeniu załapała się łzami.

- Chyba nie jest aż tak źle?

Otoczył ją ramieniem i podprowadził do kanapy. Podał jej chusteczkę.

- Dlaczego nie? Skąd wiesz?

Zapadła cisza, przerywana tylko odgłosami tłumionego łkania.

- Powiedz mi, o co chodzi - odezwał się w końcu.

- Czy to dlatego, że nagle zdałaś sobie sprawę, że twoja mała córeczka jest już dorosła?

- Dorosła? - W głosie Hope zabrzmiała nuta gorzkości. - Wydawało mi się, że oznaką dojrzałości jest troska o uczucia innych, a nie egoistyczna decyzja o ślubie.

- Tak też można na to patrzeć. - Jego rzeczowy ton kazał jej otrzeć łzy. Trzeba zachować resztki godności.

- Czy nie myślisz - spytał po chwili - że za twoją reakcją kryje się zazdrość?

- Uważasz, że jestem zazdrosna? - Zdumienie niemal odebrało jej głos. - O własną córkę?

- Jane jest piękną dziewczyną u progu wielkiej, życiowej przygody. Nie ma w tym nic dziwnego, że jej matka widzi w tym dowód swojego malejącego znaczenia w życiu dziecka.

- Nie - ucięła Hope. - Tu chodzi wyłącznie o moje konto w banku.

- Musimy tę sprawę jak najszybciej wyjaśnić. Ślub i wesele to duży wydatek. Uważam, że będzie sprawiedliwie, jeżeli się nim podzielimy. Nie ma żadnego powodu, żebyś ty ponosiła wszystkie koszty. Przecież mnie powodzi się znacznie lepiej.

- Nie - przerwała mu urażona. - Już dawno temu obiecałam Jane, że kiedy będzie wychodziła za mąż, uszyję jej suknię ślubną i upiekę tort. Wyobrażałam sobie, że to będzie idealne wesele, ale skoro oni wolą taką wystawność na pokaz... Wzruszyła ramionami.

- Nie widzę przeszkód, żeby to było idealne wesele. Razem jesteśmy w stanie spełnić każde ich życzenie.

- I to pieniądze sprawiają, że cała ta uroczystość będzie idealna? A sam związek? Poznali się tak niedawno, a już domagają się wystawnego wesela w drogim hotelu. -Potrząsnęła głową. - Z moich obserwacji wynika, że im wspanialsze wesele, tym szybciej dochodzi do rozwodu.

- Jesteś cyniczna - powiedział w zadumie, wpatrując się w jej palce, które bawiły się obrączką. - Czy tak było z twoim małżeństwem?

- Nic podobnego!

Wojowniczo podniosła głowę do góry. Włożyła wiele wysiłku w to, by spojrzeć mu prosto w oczy.

- To dlaczego nie jesteście razem?

- Ponieważ mój mąż nie żyje.

Przez chwilę milczał. Odniosła wrażenie, że wreszcie chce coś powiedzieć, gdy rozległo się brzęczenie pagera. Zaklął pod nosem, po czym wyjął aparat z kieszeni i odczytał wiadomości.

- Przykro mi bardzo...

Wyrażnie nie wiedział, co ma zrobić najpierw.

Hope czuła, że jeszcze nie skończyli tej rozmowy, lecz po roku współpracy z Mattem Benedictem wiedziała, że pierwszeństwo przypadnie jego obowiązkom służbowym.

- Telefon masz na stoliku po drugiej stronie - powiedziała cicho.

Co za ulga. Przez chwilę miała wyrzuty sumienia z powodu tak egoistycznej reakcji. Wzywano go tylko wówczas, gdy któreś z chorych dzieci potrzebowało właśnie jego pomocy. Ciekawe, o kogo chodzi, pomyślała.

Odłożył słuchawkę i podniósł się z kanapy. Hope poszła w jego ślady.

- Muszę wracać. Przywieziono dziecko z wypadku. Przystanął w drzwiach, by jeszcze raz na nią spojrzeć.

- Dasz sobie radę?

Po raz pierwszy usłyszała w jego głosie niepokój. Ściągnął brwi, szukając w kieszeni kluczyków.

- Jasne. - Wyprostowała się. - Robię to od wielu lat.

- Trzeba skontaktować się z Edwardem i Jane. Musi być jakiś rozwiązanie.

Znikając w holu, pożegnał ją gestem dłoni.

- Powodzenia - mruknęła, siadając na kanapie przeświadczona, że w miarę upływu czasu sytuacja będzie komplikowała się coraz bardziej.

Wytarła nos w białą chustkę. Przez łzy dostrzegła wyhaftowany monogram.

- Chusteczki z monogramem... - pochlipywała oburzona. - Nie dziwota, że jego bratanek zażyczył sobie takiego pretensjonalnego wesela!

Wcisnęła się głębiej w róg kanapy i dała upust swojej rozpacz.

Gdy w końcu udała się na spoczynek, zasnęła kamiennym snem. Obudziła się z bólem głowy, który tylko się nasilił, gdy uprzytomniła sobie, że nie może pojechać do pracy samochodem.

- Ciągłe pada - westchnęła, wyrzawszy przez okno. - Zmoknę, jeżeli pójde na przystanek, zmoknę, jeżeli pójde piechotą...

W końcu zadzwoniła po taksówkę.

Ubrała się i usiadła przy oknie, żeby widzieć nadjeżdżające auto, lecz zamiast się cieszyć, że podjęła rozsądną decyzję, wyrzucała sobie rozrzutność.

Samochód zatrzymał się przed domem.

- Ten wydatek jest sto razy bardziej potrzebny - tłumaczyła sobie, zamykając drzwi - niż jakaś wirtuozna limuzyna, którą mam jechać na jakiś wirtuozny ślub.

Krótką przejażdżką taksówką dała jej chwilę wytchnienia. Hope uśmiechała się, płacąc kierowcy za kurs.

- Opłacało się - stwierdziła na pożegnanie.

- Powiniennem być policzyć podwójnie - zażartował kierowca, odjeżdżając na parking przed szpitalem.

Roześmiana pobiegła przez mokry asfalt do wejścia.

- Kogo przywieziono wczoraj wieczorem? - zapytała dyżurującą koleżankę.

- Dwie dziewczynki. - Doris podała jej karty przyjęć. - Siostry. Wracaly z matką z pływalni. Wjechał na nie samochód dostawczy.

- O Boże! Dlaczego?

- Kierowca dostał zawału i stracił panowanie nad kierownicą. Kiedy przyjechało pogotowie, już nie żył. Hej! - Doris nagle zmieniła ton. - Skąd wiesz, że wieczorem kogoś przyjęliśmy? Nie było cię przy tym.

Hope zaczerwieniła się.

- Oddałam samochód do warsztatu i doktor Benedict zaproponował, że odwiezie mnie do domu. - W oczach Doris zamigotały iskierki zaciekawienia.

- Kiedy go wezwano pagerem, zadzwonił ode mnie i zaraz wrócił do szpitala.

Zacisnęła kciuki, modląc się w duchu, by to wyjaśnienie zadowoliło koleżankę.

- Ale przecież...

- Sostro...

Z radością przyjęła wezwanie i natychmiast rzuciła się w wir zajęć. Starala się nie dać Doris kolejnej okazji do zadawania pytań.

Wcale nie dlatego, że mam coś na sumieniu, tłumaczyła sobie, pocieszając przestraszonego pięcioletka, którego przygotowywano do operacji usunięcia wyrostka robaczkowego. W tym wczorajszym spotkaniu nie było nic zdrożnego.

Dotyczyło ono ich prywatnych spraw i lepiej będzie, jeżeli tak pozostanie.

Nawał zajęć sprawił, że zapomniała o następnym etapie rozmów z doktorem Benedictem.

- Maggie - wezwała do siebie pielęgniarkę. - Mamy pewne opóźnienie na sali operacyjnej. Lisa czeka na zabieg laryngologiczny, a jej matka bardzo się denerwuje...

- Dam jej coś do picia i spróbuję ją nieco uspokoić. - Maggie uśmiechnęła się. - Zdaje się, że ta mała jest odporniejsza niż jej rodzice.

- Może ich też należałoby zbadać? - zażartowała Hope, podbiegając do telefonu.

Chwilę później stanęła wobec nowych zadań.

- Nowy transfer z oddziału intensywnej terapii. Hope wezwała natychmiast najbardziej doświadczoną pielęgniarkę.

- Na ostrym dyżurze oczekują pacjenta z problemami z oddychaniem. Potrzebują dla niego łóżka, więc jedną osobę muszą przenieść do nas.

Zerknęła na notatki: dziewczynka, lat jedenaście, od trzech tygodni na tamtym oddziale, po upadku z roweru. Hope podeszła do łóżka najbliższej dyżurki.

- Przygotuj to łóżko. Przywiozą ją za pół godziny.

- Wiadomo, jakie ma obrażenia? - spytała Polly.

- Głowa. Na szczęście bez urazów szyi, poza tym cofają się zmiany, jakie wykazało pierwsze badanie tomograficzne. Kiedy minie niebezpieczeństwo obrzęku mózgu, będziemy stopniowo ograniczać środki uspokajające.

- Nadmierny obrzęk może spowodować nawet śmierć mózgową, prawda?

- Tak. Miała szczęście. Uderzyła głową w mur. - Hope skrzywiła się. - Jej stan poprawił się na tyle, że nie trzeba jej monitorować i można ją przenieść na normalny oddział.

Szczęknęły zasuwki na drzwiach prowadzących do korytarza.

Za metalowymi poręczami łóżka drobne dziecięce ciało wyglądało jak uwięzione w klatce. W nogach piętrzyła się sterta kart choroby.

Hope ze wzruszeniem patrzyła, jak dziewczynka błądzi półprzytomnym wzrokiem po nowym otoczeniu.

- Witaj, Stephanie. Jestem siostra Hope. Przysuwając łóżko, zerknęła na kartę.

W tej samej chwili, gdy mała pacjentka znalazła się na swoim miejscu, na oddział weszli jej rodzice.

- Dzień dobry państwu. Myślę, że ucieszyła państwa znaczna poprawa stanu Stephanie.

- Aż trudno uwierzyć... - Matka delikatnie ujęła bladą dłoń dziewczynki, starając się nie dotknąć rurek kroplówki. - Baliśmy się, że nie przeżyje albo

że zostanie kaleką. To cud, że już można przenieść ją na zwyczajny oddział. Tak szybko...

Jej wzrok powędrował poza Hope, która w tej samej chwili uświadomiła sobie, że ktoś stoi za jej plecami.

- To jest doktor Benedict - powiedziała, tłumiąc uczucia radości i onieśmielenia.

- Dzień dobry, siostrzo. Wszystko w porządku?

- Wspaniale - oświadczył ojciec dziewczynki. - Żona właśnie mówiła, jak Stephanie szybko wraca do zdrowia. Wydawało się nam, że to nigdy się nie skończy, aż tu...

- Zapewne już poinformowano państwa, że mała musiała otrzymywać środki uspokajające, żeby ograniczyć obrzęk mózgu spowodowany wypadkiem. Kiedy ciśnienie śródczaszkowe spadło, stopniowo zmniejszono ich dawkę.

- Nie wiem, jak wyrazić naszą wdzięczność... - zaczęła matka drżącym głosem.

- Czeka ją jeszcze długa droga - ostrzegł doktor Benedict. - Przede wszystkim fizykoterapia. Po tyłu tygodniach w łóżku trzeba będzie postawić ją na nogi, ale przy odrobinie szczęścia i wyteżonej pracy niedługo wróci do domu.

- Siostrzo Hope... - Maggie wychyliła się z sąsiedniej sali. - Czy doktor Benedict może zajrzeć do Cheryl?

- O co chodzi?

Hope zerknęła na rodziców Stephanie, lecz byli nadal pochłonięci rozmową z lekarzem. Podeszła do Maggie.

- Było już znacznie lepiej, ale znowu coś jest nie w porządku. Nagły spadek ciśnienia, tak jak przy krwotoku...

Pokazała Hope najnowsze wyniki badań małej pacjentki.

- Rzeczywiście, pogorszenie...

Hope przyglądała się dziewczynce potrąconej przez samochód. Zastanowiła ją intensywność wybroczyn na jej pobladłej twarzy.

- Zaraz go poproszę - rzekła po chwili. - Wygląda na jakiś uraz wewnętrzny, niewidoczny, kiedy ją przyjmowano.

Gdy wróciła do łóżka Stephanie, Matthew rzucił jej pytające spojrzenie. Skinęła nieznacznie głową na znak, że jest potrzebny gdzie indziej. Pożegnał się z uszczęśliwionymi rodzicami i podszedł do drzwi.

- Coś niedobrego?

- Młodsza z tych dwóch sióstr potrąconych przez ciężarówkę... - zaczęła.

- Cheryl?

Natychmiast ruszył do jej sali.

- Tak.

Niesamowite. Przez cały rok współpracy ani razu nie pomylił imion swoich podopiecznych.

- Niewielki, ale stały spadek ciśnienia - ciągnęła. - Krwotok wewnętrzny?

- Prawie na pewno. Cholera! Obejrzę ją, ale zanosi się na kolejną wyprawę na salę operacyjną!

Wprawnymi ruchami zbadał dziewczynkę, wreszcie pokiwał głową.

- Biedne dziecko - szepnął, sięgając po słuchawkę już w pokoju Hope. - Nie dość, że straciła tyle skóry i złamała rękę... Obawiam się, że ma uszkodzoną śledzionę. Halo?

Czekał na połączenie z dyżurującym anestezjologiem.

Hope odetchnęła z ulgą, gdy Cheryl prawie natychmiast odjechała na salę operacyjną, wyposażona w dodatkową krew w celu uzupełnienia tego, co straciła. Nie ma, niestety, innego sposobu niż inwazyjny, aby ustalić przyczynę krwotoku i go zatrzymać.

- Trzeba teraz zmienić cały rozkład zabiegów... -mruknęła, przeglądając wcześniej ustalony plan.

Jedyną zaletą tego zamieszania jest to, że nie ma czasu na myślenie o rozmowie, jaka ją czekała z pewnym pediatrą. Niedawno też odkryła, że uspokajanie przerażonych rodziców i opieka nad operowanymi pacjentami powstrzymują ją od rozmyślań na temat jej własnego dziecka, które nie odezwało się do niej ani razu od czasu owej pamiętnej rozmowy telefonicznej, kiedy to rzuciło słuchawką.

- To ty, Hope?

Dopiero po chwili uprzytomniła sobie, kto zwrócił się do niej po imieniu.

- Doktor Benedict...

Nie potrafiła ukryć zdziwienia. Zupełnie się nie spodziewała, że to właśnie on zadzwoni w chwili, gdy ona wchodzi do domu. Podbiegła do telefonu, wyobrażając sobie, że to Jane.

- Wydawało mi się, że mam na imię Matt.

- Przepraszam... - Jak to dobrze, że nie może widzieć jej zmieszania. - Czyżbym coś przeoczyła na oddziale?

- Skądże znowu. Dzwonię w prywatnej sprawie. Powinniśmy się spotkać, żeby dokończyć naszą rozmowę. Nie omówiliśmy wszystkiego...

- Co proponujesz? Może jutro? Podczas przerwy na lunch?

- A dzisiaj wieczorem? Chyba jeszcze nie zdążyłaś nic zjeść, prawda? Przyjadę po ciebie o siódmej.

- Chcesz mnie zabrać na kolację?

Była zła na siebie za ten ton niedowierzania. Co się z nią dzieje?

- Przecież oboje musimy coś zjeść, a poza tym powinniśmy pogadać. Najprościej będzie to połączyć.

Matt ma rację. Przez to idiotyczne zakłopotanie nie do końca usłyszała, co powiedział. Kiedy odłożyła słuchawkę, pamiętała tylko tyle, że przystała na jego propozycję.

Przez cały czas zadreżczała się rozważaniem, co też on sobie o niej pomyślał. Zapewne tyle, że trafił na potwornie samotną wdowę, która wpadła w zachwyty z powodu kolacji z przystojnym mężczyzną.

- Wcale nie! - powiedziała na głos, zaciągając zamek błyskawiczny swej ulubionej sukni. - Mnie ten stan odpowiada!

Uczesała się i zrobiła staranny makijaż.

Gdy punktualnie o siódmej zadzwonił dzwonek, wzięła torebkę i ruszyła do wyjścia. Zanim sięgnęła do klamki, zrobiła głęboki wdech, żeby się opanować. Z wdzięcznością pomyślała o stolarzach, którzy zrobili drzwi z litego drewna, tak że stojący za nimi mężczyzna nie mógł jej teraz zobaczyć.

- Dobry wieczór.

- Dobry wieczór.

Przyglądali się sobie nawzajem. Matthew znieruchomiał z ramieniem tuż przy dzwonku.

Hope wydawało się, że widzi po raz pierwszy tego mężczyznę w nieskazitelnie skrojonym, ciemnym garniturze i olśniewająco białej koszuli,

podkreślającej jego opaleniznę. Tego wieczoru jego oczy były bardziej zielone niż szare, a kości policzkowe i zarys szczęki bardziej wyraziste. Zorientowała się także, że po raz pierwszy od tamtego pamiętnego koktajlu Matthew widzi ją w innym stroju niż szpitalny fartuch.

Z zadowoleniem pomyślała, że właśnie ta sukienka idealnie podkreśla kolor jej oczu. Świadomość, że wygląda elegancko, dodała jej odwagi.

- Jestem gotowa. Może wejdiesz na drinka? Cofnęła się, by go przepuścić, speszona nowością

sytuacji oraz niepewnością, jak należy się zachować.

- Nie, nie. Jedźmy od razu. Możesz mnie zaprosić na kawę po kolacji. Mam nadzieję, że mi wybaczysz taką samowolę, ale pozwoliłem sobie zarezerwować stolik w „Domku pod Strzechą”. Wolałabyś gdzie indziej?

Wkrótce wyjeżdżali z centrum, za miasto, w kierunku przeciwnym niż szpital. Hope znalazła się tu po raz pierwszy, chociaż stale sobie obiecywała, że zwiedzi tę okolicę.

- Ależ nie. To podobno bardzo dobra restauracja. Peszyła ją taka wymiana uprzejmości.

- To znaczy, że znalazłem miejsce, którego nie znasz. Był wyraźnie zadowolony.

- Nic łatwiejszego! - Roześmiała się. - Nie byłam w żadnej restauracji w tym mieście!

- Wolisz inne rodzaje życia towarzyskiego? W jego głosie zabrzmiała nuta zaciekawienia.

- Ja w ogóle nie prowadzę życia towarzyskiego - wyznała.

- A to dlaczego? Chyba nie z braku okazji?

- Jesteś bardzo miły... Głównie z powodów finansowych. Mając Jane na utrzymaniu, niewiele mogłam wydać na rozrywkę.

- A polisa męża? Przecież to istotny dodatek.

- Być może, ale mój mąż nie był ubezpieczony. Młodzi mężczyźni zazwyczaj nie myślą o polisach. Uważają, że są nieśmiertelni. Poza tym, o ile mi wiadomo, żadne towarzystwo ubezpieczeniowe nie wypłaci pieniędzy w przypadku samobójstwa.

- Przepraszam. Nie miałem pojęcia...

- W szpitalu też nikt o tym nie wie. Upłynęło wiele lat... Mam to już za sobą.

W tej samej chwili wjechali na parking przed restauracją. W samą porę, Hope bowiem nie miała ochoty odpowiadać na pytania dotyczące Jona. I tak czeka ją trudny wieczór.

W środku powitano ich jak stałych bywalców. Wkrótce siedzieli w wygodnych fotelach i, popijając drinki, pograżyli się w lekturze menu.

- Dlaczego nie wyszłaś ponownie za mąż? - zagadnął Matt, gdy złożyli zamówienie.

Wspominanie emocjonalnych skutków finału małżeństwa z Jonem popsuje jej całą kolację. Nie wolno do tego dopuścić.

- A ty dlaczego się nie ożeniłaś? - odparowała i z rozbawieniem obserwowała jego reakcję.

- Punkt dla ciebie! - powiedział z uznaniem. - Nie miałem jakoś czasu. Pracowałem i wychowywałem Edwarda...

Urwał, zdawszy sobie sprawę z tego, co mówi, i pokiwał głową.

- Co za zbieg okoliczności! - zauważyła Hope lekkim tonem.

- To wcale nie jest takie łatwe - przyznał. - Zwłaszcza wtedy, kiedy trzeba zastąpić oboje rodziców.

Wymienili pełne zrozumienia uśmiechy na wspomnienie tamtych czasów.

- Ale już niedługo przestaniemy się nimi zajmować. Będziesz miała czas kogoś sobie poszukać.

- O nie! - odparła stanowczo. - Raz mi wystarczy. Poza tym jestem za stara, żeby ktoś się mną zainteresował. Mam swoje przyzwyczajenia...

- Bzdura! Jesteś bardzo atrakcyjna. Trudno uwierzyć, że jesteś matką Jane.

- Wysłałam za mąż w wieku osiemnastu lat. Owdowiałam, a Jane urodziła się, zanim skończyłam dziewiętnaście. Nie zdążyłam skończyć szkoły pielęgniarstwa. Nie mogłam nawet zarobić na nasze utrzymanie.

- Porównujesz swoją sytuację z sytuacją Jane? Ale jest inaczej...

- Mogłoby być podobnie, gdyby coś się stało Edwardowi, zanim Jane skończy szkołę i znajdzie pracę.

- Ale Jane ma rodzinę, na którą może liczyć. Nie zostałaby sama na świecie.

- Ja też nie byłam sama, ale w rezultacie wynikło z tego więcej złego niż dobrego. Trudno sobie wyobrazić, jak to jest być zdanym na czyjąś łaskę... Kiedy wszystko, co robisz, każde osiągnięcie, zawsze jest pośledniej jakości...

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy poproszono ich do stolika, Matthew milczał, będąc pod wrażeniem jej słów. Ona natomiast starała się jak najszybciej wymazać tę rozmowę z pamięci.

- Hope... - Jego głos wyrwał ją z zamyślenia. Zorientowała się, że już wcześniej coś do niej mówił. - Dla dobra naszych żołądków proponuję odłożyć tę rozmowę na koniec wieczoru. Co ty na to?

- Szkoda byłoby popsuć taką kolację - przyznała i uśmiechnęła się, gdy podano im pierwsze danie. Przymknąwszy powieki, delektowała się wspaniałym aromatem potrawy. - Pachnie tak pięknie, że nie mam odwagi spróbować. Boję się, że się rozczaruję.

Kolacja była wyśmienita: od musu z łososia począwszy aż po pieczone kurczę w jarzynach. Okazało się, że mają problem z deserem.

- Już nic więcej nie zmieszczę - jęknęła Hope, wpatrując się w długą listę smakowitości. - W jeden wieczór zjadłam więcej niż przez cały tydzień.

- Może powinnaś zrobić zapas na nadchodzące dni? - zażartował Matthew.

- Już ja się postaram w szpitalu, żebyś to wszystko spaliła.

W końcu dała się namówić na galaretkę cytrynową.

- Przejdziemy na kawę i likiery do drugiej sali?

- Jeżeli uda mi się wstać od stołu... To najlepsza kolacja od wielu lat! A może nawet w całym moim życiu.

Spostrzegła, że Matt uważnie jej się przygląda.

- Pomogę ci...

Stanął za jej plecami, by odsunąć krzesło. Ujął ją pod ramię i pomógł wstać, po czym, jakby zapominając o zwolnieniu uścisku, poprowadził do sali klubowej.

- Proszę siadać.

Nim się zorientowała, usadowił się obok niej na miękkiej kanapie.

- O! - powiedziała zdławionym szeptem. Próbowała nieco się odsunąć, lecz siedziała w samym

rogu i gdy Matthew zwrócił się ku niej, kolanem dotknął jej uda...

Chciała nawiązać jakąś rozmowę, lecz myślała tylko o tym dotknięciu. Matt niczego nie zauważył.

- Śmietanka?

- Tak, poproszę...

Wysiłkiem woli powstrzymała drżenie palców, odbierając od niego filiżankę. W tym stanie na pewno wszystko by wylała.

Bóg jeden wie, co się z nią dzieje. Nigdy przedtem tak się nie czuła w towarzystwie mężczyzny... Chyba wypiła za dużo wina.

- No więc... - Matthew przysunął się jeszcze bliżej. - Rozumiem, że w kwestii ślubu Jane i Edwarda niepokoi cięto, że nie skończyła nauki i że nie mają pieniędzy.

- Poza tym są zdecydowanie za młodzi. Nie dorośli do małżeństwa.

- Oboje są starsi niż ty, gdy wychodziłaś za mąż.

- Wiek nie świadczy o dojrzałości - zaprotestowała. - Traktują ślub jak okazję, żeby się pokazać. Nie mają pojęcia, na czym polega różnica między ślubem i małżeństwem. Znają się dopiero od roku. Skąd mają wiedzieć, czy rzeczywiście pragną iść razem przez życie?!

- Od pół roku razem mieszkają. Można więc przyjąć, że mają już niejaki pojęcie.

- Co takiego?! - Hope poczuła się jak rażona gromem. - Co ty powiedziałeś?

- Że mieszkają razem... - Zaniepokoił się. - Twierdzili, że wiesz o wszystkim. Poprosili mnie, żebym zapłacił połowę kaucji za mieszkanie.

- Jane powiedziała, że będzie mieszkać z koleżanką z uczelni. - Hope poczuła, że szumi jej w głowie. - Pożyczyła ode mnie połowę czynszu za pierwszy miesiąc i obiecała zwrócić, jak tylko dostanie stypendium. - Nie wiedziała, czy śmiać się czy płakać. - Oczywiście, nie oddała. Ostatnio ma bardzo krótką pamięć. - Ostrożnie odstawiła filiżankę na stolik. - Proszę cię... - szepnęła, z trudem powstrzymując łzy - odwieź mnie do domu.

Kurczowo zacisnęła palce na torebce.

- Hope, co ci jest? Przykrył dłonią jej rękę.

- Odwieź mnie do domu...

Pod jego nieobecność, gdy wyszedł uregulować należność, skupiła uwagę na obrazie nad kominkiem. Taki idylliczny krajobraz... Odnosiło się wrażenie, że ci, którzy tam żyją, nie znają żadnych trosk i zmartwień. Ich

szczęścia nie zburzy niespodziewane odkrycie, że ich śliczna i uczciwa córeczka przemieniła się w pazerną, egoistyczną kłamczuchę...

Matt pomógł jej wstać, jakby była stuletnią staruszką.

- Samochód stoi przed wejściem. Masz coś ciepłego? Zaprzeczyła gestem głowy, przygnębiona tym, że jest zdana na jego pomoc. Podtrzymał ją, gdy stapała po tych kilku schodkach, umykając przed zaniepokojonymi spojrzeniami i tłumionymi szeptami.

Kiedy już siedziała w samochodzie, poczuła, że lekkie drżenie przeradza się w prawdziwe dreszcze. Z trudem hamowała płacz. Wiedziała, że Matt ją obserwuje.

- Przepraszam - wyjąkała, kiedy zatrzymali się przed jej domem. - Dziękuję za...

Rozpaczliwie szukała dłonią klamki.

- Masz klucze? - zapytał, wysiadając z samochodu. Stali pod drzwiami, podczas gdy Hope nerwowo szukała w torebce kluczy. Nie mogła ich znaleźć.

- Pomogę ci...

- Nie, poradzę sobie - ucięła. W tej samej chwili torebka wysliznęła jej się z rąk i upadła na ziemię. - Cholera! - Pochyliła się nad rozsypanym dobytkiem. - Akurat teraz!

- Są! - Matthew wyprostował się. - Wejdźmy do środka, a ja za chwilę wszystko pozbieram.

- Poradzę sobie - powtórzyła, gdy otworzył przed nią drzwi. - Nie ma potrzeby...

- Nie wątpię, że sobie poradzisz, chociaż wcale nie musisz. Spotkała cię przykra niespodzianka i potrzebujesz czasu, żeby się z tym pogodzić. - Wprowadził ją do przedpokoju. - Pozbieram twoje drobiazgi i położę na tym stoliku. Ty tymczasem kładź się spać.

Była tak wyczerpana, że w łazience zmyła tylko makijaż i starannie wyczyściła zęby. Już w sypialni zrzuciła z siebie ubranie, włożyła nocną koszulę i wsunęła się do łóżka.

Drżąc na całym ciele, zwinęła się w kłębek i nagle jej wzrok padł na kontakt przy drzwiach. Wchodząc do sypialni, zapaliła światło, ale teraz nie miała siły, by wstać i je zgasić.

Usłyszała kroki za drzwiami, po czym ku swemu zdumieniu ujrzała, że do sypialni wchodzi naczelnny pediatra ze szpitala pod wezwaniem świętego Augustyna. W ręce trzyma parujący kubek.

- Gorące mleko z cynamonem i miodem - oznajmił i pomógł jej usadowić się na poduszkach. - Dasz radę sama, czy mam trzymać kubek?

Bez słowa wyciągnęła rękę. Aby opanować drzenie, musiała trzymać go oburącz. Kątem oka obserwowała Matta.

On tymczasem usiadł na krześle w rogu pokoju, oparł łokcie na kolanach i wpatrywał się w jej dłonie.

- Lepiej?

Nim zdążyła odwrócić wzrok, ich spojrzenia się spotkały.

- Tak. Dziękuję...

- Czy możemy jeszcze chwilę porozmawiać? Nie wiadomo, kiedy nadarzy się następna okazja.

- Chyba tak.

Odstawiając kubek, nagle zdała sobie sprawę, że przyjmuje obcego mężczyznę w sypialni i ubrana jest w nocną koszulę. Starannie otuliła się kołdrą.

- Przyznam, że twoja reakcja mnie zaniepokoiła. Przez cały rok, od kiedy razem pracujemy, byłaś uosobieniem spokoju. Nic nie było w stanie wytrącić cię z równowagi. Bardzo mi tym zaimponowałaś.

Po raz pierwszy od tamtego koktajlu obdarzył ją tym swoim ciepłym uśmiechem, zarezerwowanym dotychczas dla małych pacjentów.

- Dziękuję - szepnęła, oszołomiona nieoczekiwanym wyróżnieniem.

Nie spodziewała się, że Matt Benedict dostrzeże jej prawie nieustanną obecność na oddziale.

- Mam wrażenie, że za bardzo się przejmujesz Jane i Edwardem. Za naszych czasów mieszkanie razem przed ślubem mogło szokować, ale dzisiaj jest to całkiem normalne. Z punktu widzenia prawa są dorośli i wolno im podejmować decyzje.

- Zgadza się - powiedziała spokojnie pomimo wzbierającego gniewu. - Są pełnoletni i ponoszą odpowiedzialność za te decyzje. Wątpię tylko, czy są w stanie... z emocjonalnego i finansowego punktu widzenia... podźwignąć taką odpowiedzialność.

- Co masz na myśli?
- Dąsanie się, gdy ktoś ma odmienne zdanie, nie świadczy o dojrzałości. A oczekiwanie, że inni będą płacili za ich kaprysy, świadczy o tym, że mierzą zbyt wysoko, jak na swoje możliwości finansowe. To wróży klęskę.
- Dlaczego nie powiedziałaś tego, kiedy rozmawialiście o ślubie? Może znalazłoby się jakieś inne rozwiązanie?
- Nie miałam okazji. - W jej głosie zabrzmiała nuta goryczki. - Po raz pierwszy usłyszałam o tym przez telefon. Jane poinformowała mnie wtedy, że wkrótce wychodzi za Edwarda i powiedziała, na jaką sumę mam wysłać czek jako kaucję za przyjęcie ślubne. Nie było żadnej rozmowy!
- Co jej odpowiedziałaś?
- A co mogłam powiedzieć? Prawdę, to jasne. Że mnie na to nie stać. Moim zdaniem to szaleństwo wydawać tyle na wesele. Te same pieniądze można przeznaczyć na zaliczkę na mieszkanie albo na konieczne wydatki u progu wspólnego życia, a nie wyrzucać w błoto na wystawne przyjęcie.
- Rozważałaś możliwość kompromisu? Zostało nam już niewiele czasu.
- Gdy tylko będę już wiedziała, na kiedy ma być ten tort, wezmę się do roboty, a suknia zajmie mi jeden weekend. Muszę tylko wiedzieć, jaki ma być fason i materiał.
- Sama to zrobisz? - zdumiał się. - Podejmowałaś już takie ambitne przedsięwzięcia?
- Nieraz. - Jego sceptycyzm rozwiązał jej język. -
- Prawie zawsze sama szyję dla Jane i dla siebie... Tylko w ten sposób stać mnie było na nowe ubrania.
- Czy to jest taniej?
- To zależy od materiału i fasonu, ale zazwyczaj ubrania szyte w domu kosztują jedną czwartą tego, co kupione w sklepie. Przede wszystkim stroje na specjalne okazje: suknie ślubne, wieczorowe. A na dodatek dobrze leżą!
- Uśmiechnęła się błado.
- Czy Jane wie, że ty to zrobisz? Powiedziałaś jej o tym?
- Dawno temu - oznajmiła spokojnie. - Obiecałam jej, że jak będzie wychodzić za mąż, uszyję jej suknię i upiekę tort... Jeżeli zechce. Prawdę mówiąc, cieszyłam się, że będę mogła to zrobić.
- To strasznie męczące. Przy tej liczbie zaproszonych gości...

- Wcale nie. Wystarczy wiedzieć, jak się do tego zabrać. Kwestia organizacji i... - Potrząsnęła głową. - Nie warto o tym mówić. Po prostu powiedziała mi, że nie życzy sobie niczego pośledniej jakości. Teraz mogę tylko czekać i patrzeć, co będzie.

Wspomnienie przykrej rozmowy telefonicznej z córką odebrało jej resztę sił. Oparła głowę na poduszkach i przymknęła powieki.

- Spróbujesz się z nią skontaktować?

Jego głos ledwie do niej docierał. Wzruszyła lekko ramionami, a na jej twarz wypłynął grymas narastającego zmęczenia.

- Nastawiłaś budzik? - spytał pogodnym tonem. Ciepło jego śmiechu otuliło ją niczym dodatkowy pled.

- Mhm.

- Tommy do nas wraca! - dodała Maggie na końcu wyczerpującego sprawozdania z wydarzeń na oddziale. - Dzwonił do nas jego lekarz domowy.

- No nie! - Hope przypomniała sobie szelmowski uśmiech tego sześciolatka. - Co mu jest tym razem?

- Wiem tylko tyle, że przez ostatni tydzień miał jeden atak za drugim. Doktor Benedict prosił, żeby go wezwać, jak tylko Tommy przyjedzie.

- Założysz się, że nawet zły tydzień nie odebrał mu ochoty do psot?

Tym żartem Hope chciała pokryć zmieszanie. Nie była pewna, czy jest już gotowa na spotkanie z Mattem Benedictem po tej nieudanej, wczorajszej kolacji.

- Nie ma głupich! On ma tyle energii, że mógłby zasilić niejedną elektrownię - odparła Maggie, uśmiechając się na wspomnienie małego łobuziaka.

Hope zrobiła obchód swych podopiecznych, uzupełniła ich karty, pogawędziła z tymi, którzy mogli rozmawiać, pocieszyła przestraszonych.

Odgłos specjalnych zasuw na oddziałowych drzwiach przypomniał jej o nowym pacjencie. Pospieszyła na powitanie wchodzącej grupki.

- Witaj, Tommy! - pozdrowiła chłopca siedzącego na wózku. Niemal cała twarz malca ginęła pod maską tlenową. - Nie spodziewałam się, że do nas wrócisz.

- A my nie spodziewaliśmy się, że trzeba będzie go tu znowu przywozić - odrzekł zmartwiony ojciec. - Było już tak dobrze...

- Bywa i tak, panie Lambert. Takie dziecko wszędzie wejdzie. Trudno go upilnować, żeby nie naraził się na atak.

- To nie są żarty - dodała matka. - Ciągłe nie wiem, jak mu zmniejszyć obroty!

- Siostrzo, proszę przenieść Tommy'ego na to łóżko. Zawiadomię doktora Benedicta.

Zganiła się za to, że poprawia fartuch i zerka do lustra. Przecież czekają tylko na konsultanta, który będzie badał pacjenta.

- Dzień dobry.

Powitał ją profesjonalnym i obojętnym tonem, jakby wczorajszy wieczór był wytworem jej wyobraźni. Nie mogła mu jednak mieć tego za złe. Na oddziale zawsze zachowywał się jak prawdziwy konsultant, ona natomiast jest pielęgniarką, która ma się opiekować jego pacjentami.

- Czy domyślają się państwo, co tym razem może być przyczyną ataku?

W trakcie rozmowy z rodzicami badał chłopca, któremu dla ułatwienia oddychania podłożono kilka poduszek - specjalnie opakowanych, aby zminimalizować możliwość wystąpienia uczulenia.

- Lekarz Tommy'ego zaaplikował mu sterydy, ale minie kilka godzin, nim zaczną działać. Do tej pory będziemy mu podawać wziewnie salbutamol. Co dwie, trzy godziny, aż do ustąpienia ataku.

- Ile to potrwa? - zapytała matka.

- Trudno powiedzieć. Tym bardziej że nie mamy pojęcia o przyczynie tej ostatniej serii ataków. Chyba kilka dni. Musimy przeprowadzić testy. Na razie proszę sobie przypomnieć, co robił, gdzie był...

Hope obserwowała reakcję chłopca, gdy padły słowa o tym, ile czasu będzie musiał znowu zostać na oddziale. Pomyślała ze współczuciem, że to biedne dziecko spędziło większą część swojego krótkiego życia w szpitalach.

- Czy robili państwo niedawno remont albo zmienili samochód? - Matt Benedict nie rezygnował. - A może byliście na wycieczce w krajach tropikalnych? Mógł stamtąd przywieźć jakąś infekcję albo pasożyty... A zwierzęta? Może sąsiedzi mają nowego zwierzaka?

Przyglądając się Tommy'emu, Hope nie słuchała odpowiedzi strapiionych rodziców. Mimo że prawie całą twarz chłopca zakrywała maska, fakt, że unikał wzroku dorosłych, dał jej do myślenia.

- Doktorze, myślę, że będzie państwu wygodniej rozmawiać w gabinecie. Przeszył ją spojrzeniem szarzielonych oczu, lecz Hope wyczuła, że pojął jej intencje.

- To świetny pomysł - podchwycił z czarującym uśmiechem i gestem wskazał im drogę. - Na siedząco lepiej się myśli.

Hope przywołała Polly, przekazała jej tacę z lekami, a sama wróciła do Tommy'ego.

- Cześć! - Przysiadła na krześle obok łóżka. - Zanosi się, że zostaniesz u nas nieco dłużej.

Czekała na reakcję chłopca. W jego oczach wyczytała przerażenie.

- Nie chcę.

- Chyba się nie boisz?

Zniżyła głos na znak, że ta rozmowa dotyczy tylko ich dwojga.

Tommy energicznie pokręcił głową, mimo że po jego policzku spłynęła jedna, wielka łza.

- Nie wiadomo, co jest przyczyną twoich ataków. Dopóki nie dowiemy się tego, będziesz musiał u nas zostać. - Było jej przykro, że go straszy. - Twoi rodzice bardzo się martwią. Nie wiedzą, dlaczego tak się dzieje... - Czekała, aż chłopiec na nią spojrzy. W końcu zajrzała mu głęboko w oczy. - Może sam wiesz coś o tym?

Modliła się w duchu, by pozytywny kontakt, jaki z nim nawiązała podczas jego poprzedniej bytności, zaowocował zaufaniem z jego strony.

Już prawie straciła nadzieję, gdy chłopiec nieznacznie skinął głową.

- Powiesz mi? Niebieskie oczy zaszyły łzami.

- Kotka - wykrztusił ze świstem. - Chcieli ją zabić, to ją ukryłem. - Chwycił Hope za rękę. - Jak nie wrócę do domu, nikt jej nie da jeść i ona zachoruje.

- Oj, Tommy... - Pogładziła go po włosach. - Nie pozwolimy, żeby spotkało ją coś złego.

Fachowym ruchem otarła mu łzy, pamiętając, że nawet sześcioletni mężczyzna nienawidzi opiekuńczych gestów. Wysłuchiwała do końca jego opowieści i uspokoiła go, obiecując, że bierze na siebie problem przekazania tej wiadomości rodzicom.

Kiedy weszła do gabinetu, rodzice Tommy'ego byli równie zagubieni jak przedtem.

Matthew rzucił jej pytające spojrzenie, gdy tylko znalazła się w jego polu widzenia.

- Zdaje się, że siostra Morgan zna rozwiązanie naszej zagadki.

- W państwa garażu, w samym rogu, pod bojlerem centralnego ogrzewania, stoi tekturowe pudło. - Rodzice Tommy'ego nie spuszczały wzroku z jej warg. - A w tym pudle mieszka mocno wynędzniała kotka.

- Kot?! - krzyknęła zdumiona pani Lambert:

- Jeśli dobrze zrozumiałam, ktoś chciał się jej pozbyć w sposób niezbyt humanitarny. Tommy ją uratował i opiekował się nią bez państwa wiedzy.

Zapadła martwa cisza, którą przerwał Matthew.

- Czy wypada gniewać się na bohatera? Uratował zwierzakowi życie, ryzykując własne.

Na twarzach dorosłych pojawił się uśmiech. Nareszcie coś wiadomo. Nareszcie wiadomo, czemu przeciwdziałać.

- Świetna robota - pochwalił ją, gdy wyprowadzała Lambertów z gabinetu.

- Co cię naprowadziło na ten trop? Oni byli absolutnie pewni, że Tommy nie stykał się z żadnym zwierzęciem.

- Intuicja - odparła, uśmiechając się przez ramię. - Pielęgniarkom to potrzebne.

- Mama?

Słyszając w słuchawce głos córki, Hope nie wiedziała, jak zareagować. Przesądnie zacisnęła kciuk.

- Jane! Co u was słyhać? - wykrztusiła.

- Wszystko w porządku - odparła Jane swobodnym tonem. - Słuchaj, mam, przedyskutowaliśmy z Edwardem twoją propozycję i doszliśmy do wniosku, że chcemy mieć właśnie takie a nie inne wesele i że sami za nie zapłacimy.

Hope postanowiła tym razem nie dopuścić, by ta rozmowa skończyła się równie nieprzyjemnie jak poprzednia.

- Skoro tak postanowiliście... Czy to znaczy, że suknię i tort też załatwicie sami?

- Jeżeli ty tego sobie życzysz...

Melodyjny jeszcze przed chwilą głos Jane zabrzmiał wyjątkowo szorstko.

- Ależ nie, kochanie. Decyzja należy do ciebie - upierała się Hope. - Wiesz przecież od dawna, że jeżeli tylko zechcesz, z przyjemnością się tym zajmę.

- Wobec tego, proszę, zrób to.

- W porządku - odparła Hope spokojnym tonem, chociaż czuła, że za chwilę nie będzie w stanie dłużej ukrywać prawdziwych uczuć. - Kiedy tylko się zdecydujesz na jakiś fason, przyslij mi rysunek i swoje wymiary. Powiem ci wtedy, ile masz kupić materiału. Przyjedziesz w któryś weekend do przymiarki. Pomyślałaś o druhnach? Ile ich będzie i w co będą ubrane?

- Tylko Liz i Anne, koleżanki ze szkoły. Ten sam fason, z tym, żeby potem można je było nosić jako suknie wieczorowe. Myślałyśmy o tafcie koloru czerwonego wina.

- A tort? Jeżeli będzie mniej niż pięćdziesiąt osób, wystarczy...

- Chcemy, żeby miał trzy piętra. Biszkopt z owocami, marcepanem i pomadkowym lukrem. Bukiety będą z ciemnoczerwonych i kremowych róż i frezji, więc na torcie zrób odpowiednią dekorację.

Hope była zdruzgotana.

- „Idź na kompromis”, powiedział - mruknęła pod nosem, sumując w myślach koszt składników i czas potrzebny do upieczenia takiego tortu. - Nie licząc dwóch sukni wieczorowych i jednej ślubnej... Cud, jeżeli przeżyję ten ślub i nikogo nie zamorduję.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Co ty tam niesiesz? Kamienie? - zdumiała się Doris na widok Hope, która obładowana torbami wychodziła z windy.

- Zakupy... - sapnęła Hope, upychając wiktuały w swojej szafce. - Nie zdążyłam zanieść tego do domu przed dyżurem. - Podeszła do umywalki i umyła letnią wodą twarz. - O, jak dobrze...

- Przynieść ci kawy?

- Uratujesz mi życie! Jeszcze tylko muszę wymyślić jakiś sposób, żeby mi wystarczyło piętnaście minut snu na dobę, i świat znowu będzie piękny!

Obliczenie ilości składników potrzebnych do upieczenia trzypiętrowego tortu zajęło jej sporo czasu. Rzut oka na ceny na otwartych już opakowaniach w kuchennej szafce uzmysłowił jej, że nie ma przy sobie tyle gotówki i że musi rozpocząć dzień od wizyty w banku.

- Teraz już tylko pieczenie - mruknęła pod nosem, delikatnymi ruchami wycierając twarz.

Za chwilę musi pójść na obchód. Pierwszy dostrzegł ją Tommy.

- Siostro! Siostro Hope! - zawołał radośnie.

- Dzień dobry, Tommy. Jak się dziś czujesz?

- Dobrze. Czy mogę panią o coś zapytać?

- Słucham.

- Czy siostra ma kota? Spoglądał jej głęboko w oczy.

- Nie. Dlaczego pytasz? O nie, młody człowieku! Na pewno nie wezmę tej kotki.

- To nie o nią chodzi. Ona jest moja - oznajmił tonem pełnym wyrzutu.

- To dlaczego chciałeś się koniecznie dowiedzieć, czy mam kota?

- Bo ona się w nocy okociła. Ma pięć małych. - Szeroko rozpostarł palce. - Mama powiedziała, że mogę zatrzymać kotkę, ale muszę rozdać jej dzieci.

- Czy rodzice na pewno się zgodzili, żeby została? Od kiedy się nią zajmujesz, stale masz ataki duszności.

- Tata powiedział, że to przez kurz pod tym piecem od centralnego ogrzewania. I powiedział też, że jeżeli Rambo będzie kapana, to nie będę chory.

- Rambo?! - zapytała, hamując śmiech. - A ja myślałam, że Rambo to mężczyzna!

- Wiem, ale mój kot będzie silny jak prawdziwy Rambo!

Skorzystała z okazji, że Tommy zadumał się nad imieniem kota, i umknęła do innych pacjentów. Chłopiec szybko wróci do siebie. Na pewno zapomni, że nie udało mu się namówić jej na kociaka.

Przywołała do siebie pielęgniarkę.

- Ben, powiedz, czy coś ci wiadomo na temat kotki Tommy'ego?

- Wszyscy o niej wiedzą! Nie ma na oddziale nikogo, komu by nie proponował kociąt! Lada moment zaczniesz zaczepiać pacjentów i rodziców.

- A co z tą kotką? Czy rzeczywiście rodzice pozwolili mu ją zatrzymać?

- O ile zdążyłem się zorientować, negocjacje są w toku. Matka Tommy'ego porozumiała się już z sąsiadką na wypadek, gdyby okazało się, że kot nie może mieszkać pod tym samym dachem, co Tommy.

- Jak to dobrze! - rzekła Hope z westchnieniem ulgi. - Nieborak jest w niej zakochany.

- Gdyby pacjenci znali cię tak dobrze jak ja... - powiedział tajemniczo Ben, kierując się do drzwi.

- A ty co znowu? Co ty o mnie wiesz?

- Że masz gołębie serce. Gdyby o tym wiedzieli, mogliby zrobić z tobą wszystko... O, przepraszam!

Zderzył się w drzwiach z doktorem Benedictem.

- Dzień dobry, siostrze. Mówiłeś o naszej nieugiętej siostrze Hope?

Ben aż zamrugał powiekami, zdumiony takim żartem, po czym szeroko się uśmiechnął.

- Tak, o niej! Trzyma nas wszystkich mocną ręką! Zasalutował Hope i czym prędzej zniknął.

W pokoju zapanowała cisza.

- Czy już...

- Czy może...

Wybuchnęli śmiechem.

- Chciałem się dowiedzieć, jak się czujesz. Nie wyglądasz na wypoczętą.

Przyglądał się jej uważnie.

- Dziękuję. Już mi lepiej. - Spojrzała na niego z wyrzutem. - Tym bardziej że dopiero zacznym dyżur.

- Rozmawiałem wczoraj z Edwardem. Jane miała do ciebie dzwonić.

- Tak... Zadzwoiła, gdy wchodziłam do domu. Poprosiła mnie o tort, a poza tym ma mi przysłać rysunek sukni, żebym mogła zająć się wykrojem.

- Czy teraz jesteś zadowolona?

Hope spoważniała na wspomnienie napiętej atmosfery, jaka towarzyszyła ich wczorajszej rozmowie. Miała wrażenie, że umknęło jej coś ważnego...

- Nie jest to taki ślub, jaki sobie wymarzyłam dla niej

- odparła dyplomatycznie. - Niepotrzebnie narobili tyle zamieszania.

- Miejmy nadzieję, że wszystko potoczy się gładko. Czy powiedziała ci, że zdecydowali się na mniej wystawne przyjęcie?

- Nie. Zapytałam ją tylko o suknie i tort. Nie wątpię, że jeszcze mnie o tym poinformują.

Zabrzączał telefon. Przywieziono nową pacjentkę.

- Aleksja Pickering. Jest już na izbie przyjęć. Ma cukrzycę, a jutro ma być operowana - relacjonowała Hope, odkładając słuchawkę.

- Bardzo powiększone migdały oraz częste anginy

- wyrecytował Matt dolegliwości dziewczynki.

- Tak, to ta. Przyjmujemy ją dzisiaj, żeby przygotować do jutrzejszego zabiegu.

- Czy na pewno zjadła dzisiaj śniadanie i wzięła insulinę?

- Myślę, że tak. Jej rodzice dostali dokładną instrukcję, ale na wszelki wypadek sprawdzę, jak tylko się pojawią. Przed podwieczorkiem podamy jej krótko działającą insulinę, a przed snem kroplówkę z insuliną.

- Zbadam ją, żeby wykluczyć jakiegokolwiek stany zapalne. Potem badanie krwi na poziom hemoglobiny, elektrolitów, mocznika, glukozy oraz ustalenie grupy.

Hope zapisała jego wskazania.

- Byłeś dzisiaj u Tommy'ego?

- Tak. - Roześmiał się, spoglądając przez szybę dyżurki na chłopca, który prowadził ożywioną rozmowę z kolegą z sąsiedniego łóżka. - Dałem nogę, zanim mnie namówił na kota!

- Tym razem ci się udało. Ale on nie przestanie, dopóki go nie wypiszemy.

- Dzięki Bogu, to już chyba niedługo. Jego stan poprawia się błyskawicznie. Wystarczyło usunąć go ze środowiska wywołującego ataki. Zdumiewająca jest żywotność dzieci.

- Lubisz swoją pracę, prawda? Umiesz nawiązać kontakt z dziećmi. Natychmiast wyczuwają, że chcesz im pomóc.

- Dzięki - odrzekł niby obojętnie.

Hope ze zdumieniem patrzyła na lekki rumieniec na jego twarzy. Nie spodziewała się, że jej komplement wprowi go w zakłopotanie.

- Szkoda, że nie masz własnych dzieci. Byłbyś dobrym ojcem.

- Musiałem ojcować Edwardowi. Kiedy miał dziesięć lat, jego rodzice zginęli w wypadku. Od tej pory mieszkamy razem.

- To już nie to samo, co prawdziwa rodzina - zauważyła posępnie. - Miałam Jane dla siebie od jej narodzin i nieraz myślałam sobie, że byłoby wspaniale wychowywać ją razem z kimś, kto także by ją kochał.

- Chyba była bardzo mała, kiedy zmarł twój mąż. Czy ona go pamięta?

- Jon nie miał pojęcia, że jestem w ciąży - powiedziała obojętnym tonem, ucinając dalszą dyskusję.

Ćwiczyła ten ton specjalnie, żeby uniknąć dociekliwych pytań. O pewnych sprawach nadal nie potrafiła rozmawiać.

Z niejaką ulgą przyjęła fakt, że Matthew po zbadaniu Aleksji natychmiast został wezwany na oddział urazowy. Hope przywitała się z fizykoterapeutką, która przyszła do Stephanie.

- Mała robi duże postępy - zaczęła Marika Sadowska. - Jeszcze wczoraj nie była w stanie utrzymać mojej dłoni, a dzisiaj stanęła tak wyprostowana, że była prawie mojego wzrostu!

Hope rozbawił nie tyle entuzjazm i optymizm Mariki, ile fakt, że sama, mając poniżej metra sześćdziesięciu wzrostu, przyzwyczała się, że większa część ludzkości bez trudu ją przewyższa.

Pochwaliła szczerze Stephanie i przeszła do następnej pacjentki.

- Czy doktor Benedict powiedział, jak długo Susan u nas zostanie? - zapytała Polly przy łóżku trzyletniej dziewczynki. - Jej mama jest w zaawansowanej ciąży i bardzo ją męczą wizyty w szpitalu.

- Mówił o trzydziestu sześciu godzinach. - Hope zerknęła do notatnika. - Mamy już wszystkie badania. Zapytam go, czy zgodzi się wypuścić ją wcześniej.

- Dziękuję. Powiem o tym jej mamie, jak tylko wróci z toalety.

- Mam nadzieję, że twoja troska nie wynika z chęci pozbycia się Susan z oddziału...

- Skądże znowu! - zarzekała się Polly.

Hope przeszła do mniejszej salki. Wcześniej przywieziono tam z oddziału intensywnej terapii Cheryl po drugiej operacji.

- Jaki jest jej stan? - półgłosem zapytała Bena, który siedział przy łóżku.

- Świetny. - Uśmiechając się, gładził długim palcem wierzch dłoni dziewczynki. Było to chyba jedyne widoczne miejsce bez zadrapań i śladów po igłach kroplówek. - Z każdą chwilą jest coraz lepiej. Jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce będzie silniejsza ode mnie i przyjdzie nam zamienić się miejscami. Ona będzie opiekować się mną!

- To dobrze. Wkrótce przeniesiemy ją na dużą salę.

Dziewczynka wpatrywała się w Hope błagalnym spojrzeniem.

- Siostró... - szepnęła.

- Co takiego, skarbie?

- Maureen...

- Twoja siostra?

- Gdzie jest Maureen? - Cheryl z wielkim wysiłkiem składała słowa. - Czy... ona umarła?

Po jej policzku toczyła się wielka łza.

- Nie, Cheryl!

Dlaczego nikt temu dziecku nie powiedział, że jej siostra wraca do zdrowia?! Zresztą, może jej nawet powiedzieli, ale nie zapamiętała tego pod wpływem środków usmierzających?

- Mam poprosić Bena, żeby przywiózł ją do ciebie?

- Tak, proszę...

- Czy wy sobie wyobrażacie, że tymi wątłymi ramionkami będę pchał łóżko Maureen taki kawał drogi?! To mnie wykończy! Myślałem, że mnie choć trochę lubisz! - rzucił już zza drzwi.

- Ale on się wygłupia... Twarzyczka Cheryl wyraźnie pojaśniała.

- A jaki jest sympatyczny - dodała Hope.

Po chwili Ben wtoczył do sali łóżko z Maureen.

- Mogę się założyć, że od tej chwili stan Cheryl będzie poprawiał się z minuty na minutę - szepnął, obserwując siostry, które trzymały się za ręce i szlochały ze szczęścia.

- Szkoda, że nie umiemy czytać w ich myślach. Zaoszczędzilibyśmy jej kilku koszmarnych godzin, kiedy była przekonana, że Maureen nie żyje.

- Ilekroć człowiek myśli, że zatroszczył się absolutnie o wszystko, wychodzi na jaw coś takiego i wtedy trzeba pogodzić się z myślą, że nikt nie jest doskonały - rzekł Ben z zadumą w głosie.

Tuż przed końcem dyżuru zadzwonił telefon.

- Tu Doris. Wiem, że przy najbliższej okazji mnie zamordujesz, Hope. Dzwonię, żeby cię zawiadomić, że się spóźnię.

- Bardzo? - zapytała Hope, tłumiąc jęk zawodu.

- Nie wiem. Wsiadłam do samochodu, żeby pojechać na dyżur, ale poplątały mi się biegi i... tyłem rozwalłam ścianę garażu.

- Doris! Nic ci się nie stało?!

- Jestem trochę roztrzęsiona, ale zaraz ktoś przyjedzie, żeby załatać tę dziurę.

- Czy to takie pilne?

Hope stanęła przed oczami wizja kilkugodzinnego oczekiwania.

- Niestety tak, bo za tą ścianą jest moja kuchnia! Jeżeli zostawię to w takim stanie, żaden złodziej się nie oprze pokusie.

- Duża jest ta dziura?

- Mniej więcej jak... Zaczekaj... Już przyjechał! Postaram się przyjechać jak najprędzej!

Hope usłyszała trzask pospiesznie odkładanej słuchawki.

Dotarła do domu trzy godziny później, a wraz z nią torby pełne składników na weselny tort córki.

Postanowiła wnieść wszystko za jednym razem i mało brakowało, by runęła jak długa w przedpokoju, pośliznąwszy się na popołudniowej poczcie.

- Jeszcze mi tylko brakuje złamanej ręki - mruknęła, ostrożnie już stąpając w stronę kuchni.

Nim zagotowała się woda na herbatę, Hope rozpakowała torby, ustawiając zakupy obok kuchennej wagi. Wyjątkowo źle dekorowały jej idealnie uporządkowaną kuchnię.

- Nie ma rady, będą tu stały do końca pieczenia - stwierdziła, przykrywając je ścierką do naczyń. - Nie zmieszczą się w żadnej szafce.

Postawiła na tacy filiżankę z herbatą, quiche i sałatkę owocową, i przeniosła się do salonu. Pozbierała listy, po czym usadowiła się na swoim ulubionym miejscu.

- Same rachunki! Dlaczego muszą przychodzić wszystkie w tym samym miesiącu? - Już miała je odłożyć na bok, gdy jej uwagę przyciągnął znajomy charakter pisma. - Jane...

Uszczęśliwiona rozcinała kopertę. To miło, że pomimo napiętych stosunków Jane poświęciła chwilę czasu, żeby do niej napisać. Wkrótce jednak jej uśmiech zamarł.

Jane pisała, że znalazła gotowy wykroj, podobny do jej wymarzonej sukni. Hope pozostało jedynie zmienić niezgrabne rękawy, nieco dopasować górę i zmniejszyć dekolt...

Widziała także materiał, który się jej spodobał i w związku z tym prosi matkę o jak najszybsze przesłanie informacji, ile metrów potrzeba na trzy suknie.

- Och, Jane... Jak ty się zmieniłaś... - westchnęła Hope, powstrzymując łzy. - Dlaczego? Dlaczego na gorsze?

Odniosła tacę do kuchni. Nie była teraz w stanie nic przełknąć. Straciła całkiem apetyt.

Przez następny tydzień cały czas wolny od pracy poświęciła na przygotowanie wykrojów. Żeby zmieścić się z tą robotą, musiała wszystkie meble w saloniku odsunąć pod ściany.

Na koniec, mając już wszystkie dane, wykreśliła numer telefonu Jane.

Nikt nie odpowiadał, mimo że dzwoniła co pół godziny; w końcu zajęła się porządkowaniem salonu.

- Ostatni raz - stwierdziła stanowczo, wystukując numer Jane. - Nareszcie! - ucieszyła się, słysząc ciągły sygnał.

- Tu mieszkanie Jane i Edwarda. Proszę zostawić wiadomość po sygnale.

Bezbarwny głos automatycznej sekretarki wprowadził ją w takie osłupienie, że ledwie zdążyła się nagrać.

- Dzień dobry, Jane...

Nienawidziła tego urządzenia! Nigdy nie potrafiła w porę pozbierać myśli.

Cudem przekazała wszystkie dane. Dobrze, że zapisała je w notesie, przez cały czas bowiem aż kipiała z oburzenia z powodu tego niemego afrontu, jaki ją spotkał.

Nie zorientowała się, że Jane ma automatyczną sekretarkę, ponieważ wcześniej nikt nie odpowiadał na telefony.

Odkąd Jane wyjechała do college'u, miały zwyczaj sprawdzania w pamięci aparatu ostatniego numeru, z którego ktoś usiłował się dodzwonić. Fakt, że sekretarka została włączona w trakcie jej prób połączenia się z córką, był nader wymowny.

Pogasiła światła i poszła spać, bezskutecznie starając się o filozoficzne podejście do całej sprawy.

Na pociechę miała tylko tyle, że zgodnie z obietnicą przekazała Jane informacje tak szybko, jak to było możliwe.

- Czekaj nas kolejny pracowity dzień - sapnęła Maggie, ocierając pot z czoła. - Nie lubię takich niespodziewanych upałów. Dlaczego nie ma ładnej pogody wtedy, kiedy ja mam wolne?!

- Spróbuj sobie wyobrazić, jak czują się ci pacjenci, którzy muszą leżeć - odparła Hope bez większego entuzjazmu, dotkliwie odczuwając skutki kilku nieprzespanych nocy.

- Co się z tobą dzieje, Hope? - zaniepokoiła się Maggie. - Wyglądasz nieszczególnie.

- Dziękuję - powiedziała urażonym tonem, jednocześnie w pełni świadoma, że uwaga koleżanki nie mija się z prawdą.

- Może ci w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję. Mam trochę kłopotów z Jane, ale to minie.

- Z Jane? - szczerze zdumiała się Maggie. - Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak ci się udało. Ta dziewczyna to prawdziwy skarb.

Kiedyś tak było, pomyślała Hope. Może jej umysłem zawładnęły jakies istoty pozaziemskie i stąd ta zmiana?

Spojrzała na doktora Benedicta, krzątającego się po oddziale. Miała wrażenie, że obserwuje sobowtóra mężczyzny, który wkrótce stanie się członkiem rodziny Jane. O tym jego wcieleniu - nie pediatry w szpitalu świętego Augustyna - nie wiedziała prawie nic.

Pomyślała, że choć z całą resztą personelu łączy ją znacznie więcej niż z nim, bo zna ich od dawna i pracuje z nimi dzień w dzień, to właśnie oni dwoje wkrótce staną się sobie teoretycznie najbliżsi.

Pomimo pewnego zaniepokojenia tym odkryciem przyłapała się jednak na tym, że od jakiegoś czasu czeka na pojawienie się jego znajomej sylwetki i pilnie obserwuje jego każdy ruch na oddziale.

Fascynowało ją, że potrafił podbić serca wszystkich swoich podopiecznych. Nawet dzieci najbardziej przestraszone czy naburmuszone w dniu przyjęcia zaczynały go uwielbiać, gdy tylko poczuły się lepiej. Podobnie działo się z personelem...

Z żalem i niejakim zdziwieniem musiała przyznać, że sama nie stanowi wyjątku.

- Dzień dobry, sostro! - Powitanie przerwało tok jej odkrywczych rozważań. - Jeżeli nie czekają na mnie żadne hiobowe wieści, z przyjemnością napiłbym się kawy. Może wypijemy ją razem?

Powściągnęła szeroki uśmiech i w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że zapomniała o czymś jeszcze: Matt Benedict zawsze zapraszał ją na wspólną kawę, jakby jej obecność stanowiła nieodłączną część tego przyjemnego rytuału.

- Martwisz się czymś? - zapytał, gdy wpatrywała się w kubek, obejmując go oburącz.

- Skąd takie przypuszczenie? Przecież mu nie zdradzi, o czym myślała.

- Trzymasz kubek, jakbyś była przemarznięta do szpiku kości, a przecież wszyscy ledwie żyją z powodu upału.

- Dzięki Bogu - wykrztusiła - niedługo wychodzę do domu i będę mogła pootwierać wszystkie okna.

- To nie fair - jęknął. - Ja muszę tu siedzieć co najmniej do szóstej.

Późno w nocy, zamykając piekarnik, Hope ciągle myślała o tej ostatniej wymianie zdań.

Od kiedy to Matt przychodzi do mojego pokoju na pogawędkę? - zastanawiała się, zmywając naczynia. Kiedy przyszedł do naszego szpitala, był zimny jak głaz.

Przypomniała sobie jego lodowate spojrzenie.

Ciekawe, kiedy złagodniał i dlaczego.

Przykryła ściereczką najmniejszy krąg ciasta i odsunęła go na bok, robiąc miejsce dla średniego, który lada chwila będzie gotowy.

- Uff! - jęknęła.

Można tu było wytrzymać przy otwartych oknach, ale po zmroku zaczęły się pchać do kuchni przeróżne wstrętne, latające stwory. Hope zerknęła na kuchenny zegar. Już północ! Zanim upiecze się trzeci placek, upłynie jeszcze sporo czasu.

Z trudem zwlokła się z łóżka po niespełna czterech godzinach snu.

- Nieźle. - Zdjęła ściereczki z trzech krążków ciasta i spoglądała na nie z zadowoleniem. - Trzeba czerpać siły z satysfakcji, że cały wypiek się udał. Teraz wystarczy go tylko odpowiednio przechować.

Wzięła prysznic, wypła kawę, i już sięgała po kluczyki, gdy rozległ się dzwonek u drzwi.

- Bardzo przepraszam, ale wyleciało mi z pamięci - tłumaczył się leciwy sąsiad.

- Tak, słucham?

- Listonosz prosił mnie wczoraj, żebym oddał pani paczkę, ale przyszła córka z wnuczkami. Zająłem się nimi... i zapomniałem. Bardzo panią przepraszam.

Hope cierpliwie przekonywała starszuka, że nic złego się nie stało i dopiero w domu zorientowała się, co zawiera ciężki karton.

- Od Jane... - szepnęła, poznając charakter pisma. Ruszyła do kuchni po nożyczki. - Materiał na suknie druchen. Kremowy jedwab dla Jane.

Spomiędzy zwojów materiału wypadła kartka papieru. Hope ujrzała na niej trzy kolumny liczb i datę, podkreśloną grubą linią. Za dwa tygodnie. Wtedy zapewne Jane chce przyjechać do przymiarki...

Obracała kartkę w palcach, lecz nie znalazła na niej ani słowa pozdrowienia czy podziękowania. Serce się jej ścisnęło.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Teraz mam przynajmniej pewność, że dostała moją wiadomość - burknęła pod nosem, parkując samochód w zatoczce przeznaczonej dla oddziału pediatrycznego.

Po raz pierwszy od początku tego koszmaru była tak wściekła, że nie miała siły nawet płakać.

- Jak ona śmie tak mnie traktować! - cedziła przez zęby, idąc w stronę budynku. - Jestem jej matką... Przez dziewiętnaście lat harowałam jak wół i odejmowałam sobie od ust, żeby moja córeczka miała wszystko, co najlepsze...

Zamilkła, widząc zdziwione spojrzenia dwóch strażników. Uśmiechnęła się zdawkowo, lecz oni popatrzyli tylko na siebie i ruszyli w przeciwnym kierunku.

Cała ta sytuacja niespodziewanie ją rozbawiła. Hope wybuchnęła histerycznym, niepohamowanym śmiechem, tym razem ściągając na siebie zdziwione spojrzenia pasażerów windy.

Gdy dotarła na oddział, mięśnie brzucha bolały ją tak bardzo, że musiała się oprzeć o biurko. Objęła się ramionami i z całych sił starała się, aby jej twarz przybrała wyraz zwykłej powagi.

- Co się z tobą dzieje, Hope? - Nie zauważyła nawet, że Matt Benedict po raz pierwszy zwrócił się do niej w szpitalu po imieniu. - Boli cię coś?

Chwycił ją za ramiona i spojrzał w twarz. Dopiero wtedy coś do niego zaczęło docierać.

- Opowiesz mi ten dowcip? Chyba jest przedni, sądząc po twojej minie.

Wiedziała, że jest na granicy ataku hysterii, ale nie potrafiła się powstrzymać. Była zmęczona, upokorzona, wściekła... I te zaskoczone oraz lekko przerażone twarze mijanych osób, które w taki śmieszny sposób odwracały wzrok...

- Skarbie - szepnął, obejmując ją mocno ramionami. Oprzytomniała.

- Och! - wydała zduszony okrzyk, patrząc z bliska w jego szarozielone oczy.

Zauważyła, że ich spojrzenie wcale nie jest zimne ani groźne, ale wręcz tkliwe i zatroskane...

- O Boże! - Nagle zdała sobie sprawę z tego, że znajdują się na oddziale. Wyrwała się z jego ramion. - Czy ktoś nas widział? - szepnęła, odwracając głowę i spoglądając przez szybę, za którą widoczny był oddział.

- A jakie by to mogło mieć znaczenie?

- Jak to?! Ogromne! Nie tego oczekuje się od siostry przełożonej i lekarza konsultanta.

- Nawet jeżeli rzeczony konsultant stara się udzielić pomocy rzeczonyj przełożonej?

- Nie ma w tym nic śmiesznego. Nasz szpital cieszy się nienaganną opinią i jest niedopuszczalne, żeby personel...

- Hope!

- Słucham?

- Powiedz mi, co się stało.

W tym prostym pytaniu było tyle ciepła, że Hope zapragnęła ponownie znaleźć się w ramionach Matta Benedicta i oprzeć głowę na jego piersi.

- O, Matt...

Jak przez mgłę dotarło do niej, że i ona po raz pierwszy zwróciła się do niego w tym miejscu po imieniu, ale jakoś te wszystkie oficjalne sprawy przestały mieć nagle znaczenie.

- To cała, nie kończąca się historia - westchnęła. - Żeby ją poznać, musiałbyś mnie słuchać przez okrągły rok.

- Skoro jesteś taka przygnębiona, to co cię tak rozbawiło?

- Szkoda, że cię przy tym nie było - mruknęła i natychmiast pożałowała tych słów.

Robi z siebie idiotkę.

- Powiesz mi więc?

Przysiadł na brzegu biurka i czekał z taką miną, jakby do niczego mu się nie spieszyło.

Nie wiedziała, od czego zacząć. Obawiała się też, że gdy już zacznie, nie będzie w stanie skończyć.

- Cały wolny czas po pracy poświęcałam na robienie wykrojów sukien dla Jane i jej druchen, żeby jak najszybciej mogła kupić materiał, a ona nawet do mnie nie zadzwoniła. Musiałam zostawić jej wiadomość na sekretarce, bo nawet nie raczyła odebrać telefonu. Wiem, że na pewno była w domu... A

wczoraj piekłam placki na jej weselny tort. Są takie duże, że musiałam piec je po kolei. Zajęło mi to sporo czasu i na spanie zostało mi parę godzin...

- Ile?

- Około czterech...

W jego oczach zamigotała iskierka oburzenia, mimo to poczuła, że musi powiedzieć mu wszystko.

- Dziś rano sąsiad przyniósł mi paczkę z materiałem. Piękny, ale Jane nie napisała do mnie ani słowa! Dołączyła tylko kartkę z wymiarami i datą, kiedy zamierza pofatygować się do przymiarki.

Zaczerpnęła powietrza, czując jednocześnie dumę, że się nie rozplakała.

- To mnie dobiło. Może dlatego, że jestem przemęczona, ale nagle weszła we mnie taka złość.. Jak tak można! Jechałam do pracy i w samochodzie mówiłam sama do siebie. Na parkingu też. Zobaczyli mnie strażnicy. Przyjrzeni mi się uważnie i dali nogę, jakby... to było zaraźliwe. Szkoda, że nie widziałeś, jakie mieli miny. Potem ludzie w windzie patrzyli na mnie jak na wariatkę...

Urwała. W pokoju zapanowała cisza, kojąca cisza, dzięki której Hope powoli odzyskiwała równowagę.

- Dziękuję ci. Musiałam to z siebie wyrzucić. Przykro mi tylko, że spadło to akurat na ciebie...

- Lepiej nie mogłaś wybrać. Jeżeli nic się nie zmieniło, jestem tu jedyną osobą, która wie o tym ślubie. - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Nie przypuszczałem, że wesele może być takie stresujące. Wyobrażałem sobie naiwnie, że młoda para ustala datę i wybiera hotel. Na tym koniec.

- A ja nie przypuszczałam, że przy tej okazji można pokazać się z najgorszej strony. Dlaczego zakochani potrafią być tak okrutni?

Mrugała szybko powiekami, z wysiłkiem powstrzymując łzy.

- Należy ci się odpoczynek - zawyrokował. - Jeżeli masz temu wszystkiemu poddać, musisz mieć czas na nabranie energii.

- Dobrze by było... - mruknęła z sarkazmem, po czym wygładziła spódnice i schowała torebkę do szuflady w biurku.

- A gdyby nadarzyła się taka okazja?

Nakrył dłonią jej rękę akurat w chwili, gdy sięgała po pierwszą kartę choroby.

- Słucham?
- Gdybyś miała okazję odpocząć? Na przykład, spędzić gdzieś wspaniały weekend?
- Marzę o tym!
- Nie mogła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek przydarzyło się jej coś takiego.
- Nie zrozum mnie źle... - Zawahał się. - Czy pozwolisz się zaprosić na taki weekend za tydzień?
- Mam być twoim gościem? O, nie. Nie potrzebuję niczyjej łaski. Raz z tego skorzystałam i to mi wystarczy.
- To nie jest żadna łaska. Jeżeli coś ci się stanie przed weselem, Jane będzie niepokieszona.
- Tylko wtedy, jeżeli nie skończę sukien i tortu... Przepraszam. Niepotrzebna złośliwość.
- Za to świadcząca wymownie o stanie twoich nerwów. Zmuszasz mnie do bezwzględności. Zabronię ci wstępu na oddział, dopóki nie odpoczniesz. Człowiek, który nie dba o swoje zdrowie, nie może pielęgnować innych.
- Dobrze. Zgadzam się.
- Nareszcie. Kiedy masz wolne?
- W tym tygodniu piątek i sobotę, ale nie wiem, czy zdążysz...
- Nie martw się. Zawiadomię cię, kiedy coś załatwię. Po jego wyjściu siedziała oszołomiona. Przez długą chwilę czuła się jak po przejściu trąby powietrznej. Pokój wprawdzie wydał się jej taki sam jak przedtem, ale wszystko inne uległo zmianie.
- Nastrój umiarkowanego optymizmu towarzyszył jej do końca dyżuru. Niemniej jednak raz po raz odnosiła niepokojące wrażenie, że koledzy rzucają w jej stronę nieco zdziwione spojrzenia.
- Wygrałaś na loterii? - zagadnęła ją Maggie. - Nie poznaję cię.
- Ktoś ci przypiął skrzydła? - znaczącym tonem zapytał Ben.
- Zaczerwieniła się pełna obaw, że ktoś jednak był świadkiem porannego zajścia. Może widziano ją w objęciach Matta?
- Słyszałaś, żeby Hope kiedykolwiek zawracała sobie głowę facetami? - Maggie zadrwiła z domysłów Bena. - Albo jest na to za mądra, albo woli spotykać się z kimś spoza szpitala.

Gdybyście znali prawdę! - zaśmiała się w duszy i pospiesznie wysłała ich na oddział. Dla siebie zatrzymała przywilej towarzyszenia pediatrze podczas obchodu.

- Odkąd wypisaliśmy Tommy'ego, od razu zrobiło się spokojniej - powiedział Matt.

- Owszem, ale do tej pory personel porównuje swoje zapiski na temat przeróżnych metod uszczęśliwiania ludzi kociętami.

- Czy ktoś dał się namówić? - spytał i spojrzał na nią ciepłym i rozbawionym wzrokiem.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nikt nie chce się przyznać!

- Jaki jest stan Aleksji Pickering? Zabieg przebiegł bez żadnych komplikacji.

- Bardzo dobry. Dzisiaj właśnie odłączamy ją od kroplówki z insuliną. Co trzy godziny sprawdzamy poziom glukozy.

- Skarży się na jakieś bóle?

- Jak wszyscy pacjenci po usunięciu migdałków, narzeka na kłopoty z przelknięciem, ale uspokoiła ją obietnica solidnej porcji lodów.

- Przekupstwo i korupcja - rzucił oskarżycielskim tonem.

- Za to efekt natychmiastowy.

- Czyżby? - Zniżył głos. - Może i ja spróbuję...

Nie dowierzała własnym uszom, ale na wszelki wypadek wołała nie prosić go o powtórzenie. Nim zdążyła ochłonąć, Matthew zatrzymał się w drzwiach.

- Rezerwacja na czwartek - powiedział półgłosem.

- Czwartek?! Mam wolne dopiero w piątek i w sobotę. Przecież nie mogę...

- Spokojnie. - Wprowadził ją do jej pokoju. - Pojedziesz zaraz po dyżurze, żeby pierwszego dnia nie marnować na podróż. Możesz jechać prosto ze szpitala, czy też będziesz chciała wpaść przedtem do domu?

- To zależy od tego, dokąd jadę. Co mam zabrać?

- Jakies stroje wakacyjne... I może coś elegantszego na wieczór? - Zawahał się. - Ja jestem kawalerem, ja się na tym nie znam!

Rozłożył ramiona gestem tak zabawnym, że musiała się roześmiać.

- A jak się tam jedzie?

- Po co ci takie informacje? Sam cię zawiozę.

- To nie jest konieczne - oznajmiła z godnością, mimo że nie miała nic przeciwko temu. - Fundujesz mi ten weekend, więc już nie masz obowiązku...

- Otóż to - przerwał jej. - Jestem fundatorem i mam ochotę być twoim soferem.

Nie oponowała, wdzięczna, że po ciężkim dniu nie będzie musiała sama szukać drogi w nieznannej okolicy.

Czwartek dłużył się tak okropnie, że miała ochotę krzyczeć z niecierpliwości. Kiedy jednak przekazywała oddział Doris, drżały jej dłonie i miała miękkie kolana. Przypudrowała lekko bladą z emocji twarz i pospieszyła na parking, gdzie Matthew już na nią czekał.

- Gotowa? - Wyciągnął rękę po jej niewielką torbę. - To wszystko?

- Przecież to tylko dwa dni - przypomniała mu. - I tak za długo.

- Na pewno? A mnie się wydawało, że większość kobiet zabiera tyle rzeczy, że wystarczyłoby im na dwa miesiące.

Poczuła się dotknięta.

- Chyba mówisz o swoich kobietach - odcięła się, udając nadąsanie.

Bez słowa postawił jej torbę na tylnym siedzeniu, otworzył drzwi, po czym okrążył samochód i zasiadł za kierownicą. Popatrzył prosto przed siebie.

- Nie było ich wiele - powiedział ledwie słyszalnym szeptem.

- Czego nie było wiele? - zapytała zaskoczona.

- Tych kobiet... Kiedy zająłem się Edwardem, jakoś nie wypadało...

- On ma dwadzieścia jeden lat! Przecież już nie mieszkacie razem?!

- Jakoś nie potrafiłem... wrócić do normalnego życia. Może za długo byłem sam.

Wykrzywił wargi w bolesnym grymasie.

- Ja za to nie zdążyłam być z nikim wystarczająco długo.

Z jednej strony wzruszyła ją jego nieśmiałość, z drugiej uradował fakt, że Matt pragnie, by wiedziała, że przez ostatnie dziesięć lat wiódł ascetyczny żywot.

Dopiero po jakimś czasie zaczęła się zastanawiać, dlaczego w ogóle jej to powiedział.

- Jak tu pięknie! - zawołała, gdy samochód stanął przed pensjonatem.

- To dawny dwór.

- Cudownie! Jak na obrazku! - Wysiadła z samochodu. - Jak pachnie różami!!!

- Z tyłu jest ogromny ogród. - Sięgnął po jej torbę. - Idziemy do recepcji. Zwiedzanie będzie potem.

Szła za nim do wejścia.

- Matt, co to znaczy? - zapytała cicho. - Dlaczego niesiesz dwie torby?

Odpowiedział jej, nie zwalniając kroku:

- Myślisz, że ja nie muszę się przebierać?

- Wiesz dobrze, że nie o to mi chodzi. Nie wspomniałeś ani słowem, że to ma być weekend we dwoje.

- Naprawdę? Przepraszam - rzucił bez zająknięcia.

- Jeżeli wyobrażasz sobie - zaczęła trochę zdenerwowana - że zgodziłam się na ten wyjazd, żebyśmy ty i ja...

- Dobry wieczór! - Ignorując ją, pozdrowił recepcjonistkę. - Rezerwacja na nazwisko Benedict.

- Proszę bardzo. Dwa pokoje - odparła kobieta uprzejmie. - Proszę się wpisać do książki, a ja tymczasem poproszę portiera, żeby zaprowadził państwa na górę.

Po drodze Hope milczała. Kątem oka obserwowała twarz Matta, na której malował się kamienny spokój. Bała się poznać jego myśli.

Dlaczego wmawia sobie, że obmyślił jakiś grzeszny plan? Dlaczego musiała się odezwać, zanim dowiedziała się, jakie Matt ma zamiary?

Pokój był prześliczny, ale Hope, zaniepokojona nieprzeniknionym wyrazem twarzy swojego towarzysza, nie była w stanie cieszyć się wyszukany wnetrzem ani oszałamiającym widokiem na ogród.

Wiedziała, że Matthew stoi pod jej drzwiami, czekając, aż portier zaprowadzi go do jego pokoju, ale przecież w obecności służby hotelowej nie będzie go przepraszać za swoją nieprzemyślaną reakcję.

Przez chwilę nasłuchiwała uważnie, w którą stronę oddalają się ich kroki, lecz puszysty dywan w korytarzu tłumił wszelkie odgłosy.

Uświadomiła sobie, że zburzyła miłą atmosferę, insynuując, że taki człowiek sukcesu jak doktor Matthew Benedict musi uciekać się do podstępów, by spędzić kilka dni w towarzystwie kobiety.

Westchnęła zrezygnowana i zabrała się do rozpakowywania rzeczy.

W pewnej chwili usłyszała zgrzyt zamka w drzwiach za swoimi plecami. Po chwili rozległo się pukanie.

- Proszę - powiedziała, zdezorientowana dziwnym biegiem zdarzeń.

W drzwiach łączących oba pokoje stanął Matthew.

- To dla ciebie. - Podał jej klucz. - Nie chcę, żebyś się bała, że ulegnę pokusie i zacznę ci się narzucać.

- Ja nie... Ja wcale... Och, Matt, przepraszam. Strasznie cię przepraszam za te podejrzenia. To podłe z mojej strony. Dołożyłeś tyle starań, żebym mogła odpocząć...

Czekała na jego reakcję, wpatrzona w ostro zarysowany kontur jego szczęki i zaciśnięte zęby. Czas mijał, aż w końcu Matthew powiedział:

- Lepiej, żeby był u ciebie. - Tym razem, podając jej klucz, lekko się uśmiechnął. - Zdaje się, że to jest przywilej kobiety...

- Nie mam pojęcia. Nigdy jeszcze nie mieszkałam w pokojach hotelowych połączonych drzwiami. Prawdę mówiąc, ostatni raz byłam w hotelu dwadzieścia lat temu.

- Dwadzieścia? - Matt był wyraźnie zdumiony. - To gdzie ty jeździsz na wakacje?

- To właśnie były moje ostatnie wakacje. - Opuściła wzrok na wspomnienie tamtej katastrofy. - Jane jeździła na wycieczki szkolne, ale ja miałam raty do spłacania i tylko jedną pensję...

- W takim razie ten wyjazd od dawna ci się należał. - Zerknął na zegarek. - Masz pół godziny, żeby się rozpakować i przygotować do kolacji.

- Tak jest, proszę pana. Oczywiście, proszę pana -zażartowała z lekkim już sercem.

- To mi się podoba: bezwzględne posłuszeństwo. Zapukam, kiedy będę gotowy do wyjścia.

Zniknął w swoim pokoju.

Westchnęła z ulgą, a jednocześnie z pewnym niezadowoleniem popatrzyła na skromną stertkę ubrań, które ze sobą wzięła.

- Do głowy mi przecież nie przyszło, że on tu ze mną przyjedzie...

Wystąpi wobec tego w tej samej niebieskiej sukience, w której już ją raz widział: podczas tej okropnej kolacji, kiedy to dowiedziała się, że Jane mieszka z Edwardem.

Dzisiejszy wieczór będzie inny. Dzisiaj będzie uosobieniem spokoju. Nic nie popsuje tego spotkania.

Gdy zapukał do drzwi, Hope nerwowo, już po raz trzeci, poprawiała pomadkę na wargach.

- Idiotka - mruknęła pod nosem. - Czego się denerwujesz? Od roku spotykasz go codziennie!

Gdy wszedł, wprost oniemiała z zachwytu. Po raz pierwszy wyglądał aż tak wspaniale. Zawsze był elegancki, to prawda, ale teraz...

- Ten kolor podkreśla błękit twoich oczu.

Jego uwaga uprzytomniła Hope, że i on uważnie się jej przygląda.

- Dziękuję.

- Idziemy?

Przy aperitifach wymieniali wspomnienia z czasów studiów, przy daniu głównym pograżyli się w dyskusji na temat opieki nad hospitalizowanymi pacjentami. Następnie przeszli do zagadnienia etyki lekarskiej. Obojgu wydawało się, że od dawna prowadzą takie dyskusje.

Pochłonięci rozmową nie zauważyli, że podawano im kolejne dania i dopiero histeryczny krzyk kobiety w drugim końcu sali przywołał ich do rzeczywistości.

- Ratunku! Mój mąż się dusi!

Nim Hope się spostrzegła, Matthew już był przy tamtym stoliku.

Mężczyzna trzymał się za szyję charakterystycznym gestem człowieka, który nie może zaczerpnąć powietrza, a brak jakichkolwiek odgłosów oddychania wskazywał nieomylnie, że jego drogi oddechowe są całkowicie zablokowane.

- Proszę wstać - rzucił Matthew, podtrzymując grubasa ramieniem. - A teraz pochylić się.

Uderzył go czterokrotnie w plecy, między łopatki.

- Nie da rady - mruknął pod nosem. Nieszczęśnik ciągle nie mógł złapać oddechu. Stojąc za nim, Matthew oplótł go ramionami na wysokości piersi.

- Och... - jęknęła przerażona kobieta, sama bliska omdlenia. Na wszelki wypadek Hope przygarnęła ją opiekuńczym gestem.

Nie patrzyła na niego, lecz wiedziała, że kciuk zaciśniętej pięści umieścił w środku mostka, by, objawszy pięść drugą dłonią, zacząć uciskać klatkę

piersiową ofiary. W myślach liczyła pchnięcia. Dopiero za szóstym razem mężczyzna zaczął kasłać, a po chwili wypluł spory kawałek mięsa.

- Bogu niech będą dzięki - szepnęła kobieta, osuwając się w ramiona Hope. - George, już ci przeszło?

Matthew pomógł mężczyźnie usiąść. Przez chwilę wsłuchiwał się w jego oddech, po czym cofnął się o krok.

- W porządku - oznajmił, spoglądając na Hope. Kobieta wyprostowała się.

- Nie wiem wprost, jak mam panu dziękować. Gdyby nie pan...

Potrząsnęła siwą głową.

- Proponuję - odparł Matthew z czarującym uśmiechem - żeby zapisali się państwo na kurs pierwszej pomocy. W ten sposób, jeżeli ktoś inny znajdzie się w podobnej sytuacji, będą państwo mogli spłacić zaciągnięty u mnie dług wdzięczności.

Kobieta wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

- Doskonały pomysł - zachrypiął mężczyzna. - Tak zrobimy. - Podał Matthew drżącą dłoń. - Dziękuję za błyskawiczną reakcję.

Pospiesznie wymknęli się z jadalni, aby uniknąć zamieszania, jakie powstało.

W drodze do swojego pokoju Hope z pewnym żalem myślała o tak nagłym i nieoczekiwanym zakończeniu tego miłego wieczoru.

- Przepraszam - odezwał się nagle Matthew. - Obiecywałem ci spokojny weekend, a tu już na samym początku zostaliśmy wciągnięci w akcję ratowniczą.

- To nie twoja wina, więc tym razem ci wybaczę.

- Masz coś ciepłego? Po tak doskonałej kolacji moglibyśmy przejść się po ogrodzie.

- Mam - odparła, starannie ukrywając zachwyt. - Gruby sweter.

- Idź po niego, a ja zaczekam. - Oparł się o ścianę na wprost jej drzwi. - Pospiesz się! Nie będę tu sterczał godzinami!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W ogrodzie pachniały nie tylko róże.

- To przypuszczalnie szaflwia... - stwierdziła Hope, gdy w mroku mijali kolejną rabatę.

Matthew pochylał się, by powąchać ledwo widoczną roślinę.

- Masz rację. - Skubnął listek i podał jej. - Zdaje się, że cała rabata jest obsadzona ziołami.

- Marzę o czymś takim, ale muszę się zadowolić doniczkami na kuchennym oknie albo suszonymi ziołami kupowanymi w sklepie.

- Jeszcze do niedawna w ogóle nie używałem ziół do gotowania. Edwarda interesowała wyłącznie ilość.

- Sam gotujesz?!

Nie potrafiła ukryć zdumienia.

- Lubię jeść, więc muszę też gotować. Nie odpowiadało mi jedzenie w mieście, a gotowe dania szybko mi się znudziły.

- Mamy przecież szpitalną stołówkę.

- Lepiej jej unikać, jeśli komu zdrowie miłe - powiedział ze śmiechem. - To dobre dla podtrzymania sił w trakcie dyżuru, ale daleko temu do domowej kuchni.

- Rozważałeś możliwość wzięcia sobie żony?

- Nie po to, żeby mieć kucharkę.

- Źle mnie zrozumiałeś...

- Wiem.

Uściskał jej dłoń na znak, że żartował. Rozkoszowała się ciepłem jego ręki. Uwięził jej palce, jakby nie zamierzał ich uwolnić.

- Kiedy Edward u mnie zamieszkał, byłem zaręczony. Hope poczuła chłód, mimo że wieczór nie był zimny.

- Dlaczego się z nią nie ożeniłeś? Może...? Nagle zdała sobie sprawę z niestosowności takich pytań.

- Kiedy ku mojemu rozczarowaniu dowiedziałem się, że ona nie chce mieć nawet własnych dzieci, tym bardziej nie mogło być mowy o opiece nad dzieckiem mojego brata. Namawiała mnie, żebym wysłał Edwarda do szkoły

z internatem, żeby nie zawadzał nam w „naszym” życiu, ale gdy oznajmiłem jej, że jego obecność w moim domu nie podlega żadnej dyskusji, odeszła.

- Chciałeś mieć dzieci?

- Choćby pełen dom. Nieraz żałowałem, że mając odpowiednio wysokie dochody, żeby je utrzymać, i odpowiednio przestronny dom, żeby je pomieścić, nie mogę znaleźć odpowiedniej towarzyszki...

Zawiesił głos. Hope ze wzruszeniem wyobraziła go sobie w roli kochającego ojca.

- A ty? Miałabyś więcej dzieci, gdyby twój mąż nie umarł?

- Nie! - wypaliła natychmiast.

Nie potrafiła ukryć niechęci na wspomnienie Jona.

- To zupełnie nie pasuje do tej Hope, którą znam

- zażartował. - Wiem przecież, jak bardzo kochasz Jane. Nie chciałabyś mieć więcej dzieci?

- Zabiłabym go, gdyby jeszcze raz się do mnie zbliżył - oświadczyła, nie hamując już wzbierającej w niej nienawiści.

Przeżona tym wyznaniem, wyszarpnęła dłoń z jego uścisku i pobiegła w stronę hotelu. Kątem oka zobaczyła, że wyciągnął ramię, jakby chciał ją zatrzymać.

Zwolniła kroku, by nie budzić podejrzeń, i weszła na piętro. Weszła do swojego pokoju i, drżąc na całym ciele, stała w ciemnościach.

- Hope...

Na dźwięk znanego jej dobrze głosu wydała stłumiony okrzyk.

- Skąd się tu wzięłeś?...

Nim znalazła włącznik, rozbłysła jedna z bocznych lampek. Matthew stał w drzwiach łączących ich pokoje.

- Wróciłem za tobą do hotelu. Nie odpowiadałaś, kiedy pukałem do twoich drzwi, przeszedłem więc przez swój pokój, licząc, że te drzwi nie będą zamknięte.

- Po co? - syknęła.

- Ponieważ niepokoiłem się o ciebie. Poza tym chciałem cię przeprosić za to, że sprowokowałem taką reakcję.

- To nie twoja wina. - Z trudem dobierała słowa.

- Wspomnienie...

- Może poczułabyś się lepiej, gdybyś mi o tym opowiedziała? - zasugerował tonem tak spokojnym i przyjaznym, że Hope po raz pierwszy poczuła, że ma ochotę się zwierzyć.

- Nie wiem, czy potrafię.

- To może wolisz zostać sama?

- Nie! - zawołała przerażona. - Nie wychodź! - Podniosła dłoń w błagalnym geście. - Ja... - Urwała. Zamiast powiedzieć „Ja cię potrzebuję”, użyła mniej zobowiązującego zwrotu: - Ja... muszę to komuś wreszcie powiedzieć...

Przysiadła na łóżku i milczała.

- Co się stało? Co on ci zrobił?

Z gardła Hope wydobył się tłumiony szloch.

- Skarbie... - Już drugi raz tak ją nazwał. Po raz drugi znalazła się w jego opiekuńczych ramionach. - Nie spiesz się. Nie zmuszaj się...

- Nie chcę o tym mówić, ale muszę. To jak egzorcyzmy... - Bała się, co on o niej pomyśli. - Chyba to nie ma sensu.

- Wręcz przeciwnie. Zacznij od samego początku - zachęcał. - Jak go poznałaś?

- Mieszkaliśmy po sąsiedzku... Kicz, prawda? Ale kiedy się tam sprowadziliśmy, wydawało mi się, że zyskałam starszego brata i drugą matkę.

- Uspokoiła się nieco, wspominając bardzo odległe, dobre czasy. - Mówiłam „mamo” do jego matki prawie od pierwszego dnia. A kiedy moi rodzice zginęli w wypadku spowodowanym przez pijanego kierowcę, po prostu przeniosłam się do nich.

- Byłaś szczęśliwa?

- Tak. Jego matka traktowała mnie jak własną córkę, młodszą siostrę Jona.

- Kiedy się zorientowałaś, że go kochasz?

- To nie było tak. Kochałam go, bo był częścią mojej rodziny, moim bratem. Kiedy byłam w połowie szkoły pielęgniarstwa i nie miałam najmniejszego zamiaru wychodzić za mąż jeszcze przez dobrych parę lat, jego matka zaczęła nalegać, żebym za niego wyszła.

- Dlaczego? Bała się, że znajdziesz sobie kogoś spoza rodziny?

- Wtedy jeszcze nie wiedziałam, dlaczego, ale ona coraz bardziej mnie ponaglała. W końcu rzuciła mi prosto w twarz to, że przyjęła mnie pod swój dach po śmierci rodziców. Czulałam się... Zmusiła mnie do tego szantażem.

- Niesłychane... O co jej chodziło?

- Nie wiedziałam. Całą prawdę poznałam dopiero po ślubie.

Czuła, że głos zaczyna jej drżeć. Matthew łagodnie gładził ją po plecach, niczym przestraszone zwierzątko.

- Jak wyglądał ten ślub? Zagoniła was do urzędu, żeby mieć pewność, że się nie rozmyślisz?

- Niestety, nie. Uparła się, że muszę mieć białą suknię i huczne wesele. Pomyślałam sobie wtedy, że chyba strasznie jej zależy, żeby wszyscy sąsiedzi wiedzieli, że jesteśmy małżeństwem, jakby chciała mi wynagrodzić to, że mnie zmusiła...

- A Jon? Zgodził się na to z miłości do ciebie?

- Zapewniała mnie, że tak jest. Pochlebiało mi to. Nawet się cieszyłam... na myśl o tej intymnej stronie małżeństwa. Ale kiedy zostaliśmy sami, czułam, że Jon z trudem wytrzymuje ze mną w tym samym pokoju.

- Niemożliwe! Zapytałaś go, dlaczego tak jest?

- Odesłał mnie do matki!

- Co?! I co zrobiłaś?

- Zapytałam ją, o co w tym wszystkim chodzi - odparła spokojnie. - Powiedziała jej, że w noc poślubną nic się wydarzyło. Obiecała, że z nim porozmawia.

- Tylko tyle? Żadnych wyjaśnień?

- Nie. Powiedziała, że wszystko się ułoży.

- I co dalej?

- Wyjechała na weekend, żebyśmy mieli cały dom dla siebie. - Hope głęboko zaczerpnęła powietrza. - Przygotowałam wytworną kolację i ubrałam się w koszulę nocną, którą dostałam w prezencie od pielęgniarek ze szpitala.

- I co on na to?

Mimo narastającego napięcia, Matthew nadal pieszczotliwie gładził jej plecy.

- Nic nie powiedział. Ani słowa. Nawet wtedy, kiedy mnie... bił. Potem... potem... mnie zgwałcił.

- Chryste! - Przytulił jej głowę do swojego ramienia. - Dlaczego?

- Ponieważ był homoseksualistą i inaczej nie potrafił... z kobietą.

- Czy matka o tym wiedziała?

- Jasne. Kiedy w końcu jej powiedział, dlaczego nie ma żadnej dziewczyny, postanowiła zmusić mnie do tego małżeństwa, żeby zachować pozory przed ludźmi. Ja, niestety, dowiedziałam się o tym dużo później.

Nie wiadomo, kiedy położył jej nogi na swoich kolanach i teraz kołysał ją w ramionach jak małe dziecko.

- To potworne, Hope. To straszne, że zawiedli cię ludzie, którzy zobowiązali się cię chronić. Zniszczyli chwile, które powinny należeć do najszczęśliwszych w życiu. Ale najokropniejsze jest to, że z premedytacją skazali cię na takie bolesne doświadczenia. Taka inicjacja może niewinną dziewczynę zniechęcić do seksu na całe życie.

Hope znieruchomiała. Rozpaczliwie szukała słów. Chciała powiedzieć coś na usprawiedliwienie.

Na próżno. Matthew jest zbyt bystry, by dać się zwieść pustym słowom.

- I tak się stało, prawda? - dopytywał się, spoglądając jej prosto w oczy. - To dranie...

Nie znajdował słów, a jego spojrzenie wyrażało bezsilną złość.

Hope bała się tyle lat... Bała się wspomnienia tamtej koszmarnej nocy i tamtego tygodnia w szpitalu; bała się, że ludzie domyśla się, co zaszło i powiedzą, że to jej wina. Tak twierdziła matka Jona.

Najbardziej jednak bała się tego, że jeżeli kiedykolwiek spotka mężczyznę, którego będzie w stanie pokochać, on może się od niej odwrócić, poznawszy jej przeszłość.

Niespodziewanie w jej życie wkroczył Matthew, stając się pierwszą osobą, która pomogła jej uwolnić się od goryczy i bezsilnej nienawiści, tłumionych przez tyle lat... Matt pomógł jej zrozumieć, przez co przeszła.

W pewnej chwili ogarnęło ją tak obezwładniające uczucie ulgi, że przytuliwszy się do ramienia Matta, rozplakała się serdecznie.

- Cicho, skarbie... - szeptał, kołysząc ją lekko. Usłysawszy to słowo po raz wtóry tego wieczoru, zaniósł się dramatycznym szlochem. Płakała bardzo długo, aż w końcu zasnęła.

Było jeszcze ciemno, gdy się obudziła. Pomimo światła lampki w rogu pokoju nie mogła się zorientować, gdzie się znajduje.

Dlaczego jej sypialnia zmieniła kształt? Gdzie są kretonowe zasłony? I co tak mocno przygniata ją do łóżka?

Pierwsza przyszła odpowiedź na ostatnie pytanie.

- Jak się czujesz? - usłyszała znajomy szept.

- Co ty tu robisz?! - Nie hamowała oburzenia. -Dlaczego jesteś w moim łóżku?

- Sprawdź sama, ale moim zdaniem leżymy na łóżku, a nie w łóżku. A ja leżę tutaj, ponieważ nie chcesz mnie puścić.

Uzmysłowiła sobie, że kurczowo ściska jego rękaw. Natychmiast zaczerwieniła się i rozluźniła uścisk.

- Przepraszam.

Chciała się odsunąć, ale poczuła, że przytrzymuje ją ramię Matta.

- Nie ma za co - zamruczał sennie. - Wcale się nie zmęczyłem, leżąc wygodnie na łóżku obok pięknej kobiety. Mam tylko jedno zastrzeżenie: ona chrapie.

- Ja nie chrapię! - obraziła się Hope.

- Skąd wiesz?

- No bo... No bo nie chrapię. - Usiłowała się podnieść. - Matthew, nie mogę wstać.

- Wiem - odparł bezczelnie.

- Puścisz mnie? - zapytała przymilnym tonem, który nieodmiennie skutkował wobec najbardziej upartych pacjentów.

- Nie.

- Dlaczego?

- No bo... No bo nie chcę - przedrzeźniał ją. - Mnie jest całkiem dobrze. - Odwrócił się w stronę Hope i ciasno ją objął. - No, może trochę przesadziłem. Mogłoby być jeszcze lepiej.

Chciała dalej go wypytywać, ale speszyło ją jego wymowne spojrzenie.

- Hope... - szepnęła.

- Słucham?

Czuła, że siły ją opuszczają.

- Czy mogę cię pocałować?

- Dlaczego?

Serce biło jej jak młotem. Nie słyszała nawet własnych myśli.

- Chciałbym wiedzieć, jak smakujesz. Pochylił się nad nią.

Zdażyła jeszcze pomyśleć, że przecież może zaprotestować, lecz po chwili w ogóle przestała myśleć. Skupiła się na przyjemności, jaką odczuwała, gdy jego język delikatnie muskał jej wargi.

- Skarbie - szepnął po chwili.

- Mhm?

- Wpuść mnie...

- Co takie...?

Nie pozwolił jej dokończyć.

- Matt! - jęknęła.

- Nie chcesz? - spytał półgłosem.

Z trudem panował nad wzbierającym pożądaniem.

- Mogę cię o coś zapytać? - szepnęła. Wstydziła się, ale jednocześnie wiedziała, że tego właśnie pragnie.

- Oczywiście. Pytaj, o co chcesz.

Gładził ją łagodnie po włosach, jakby chciał dodać jej odwagi.

- Czy... chcesz się ze mną kochać?

Była bliska płaczu, kiedy się od niej odsunął. Poczowała się odepchnięta. Próbowwała odwrócić głowę.

- Przepraszam - szepnęła, czując, że ma ochotę umrzeć. - Jak można tak pytać...

- Skarbie... - Spojrzał jej w oczy. - Proszę, nie mów, że się rozmyśliłaś.

- Ja się rozmyśliłam? Przecież to ty się odsunąłeś!

- Żeby cię rozebrać. - Wsunął palce pod jej sweter. - Chcę cię oglądać, dotykać...

Odwróciła wzrok.

- Co się stało?

- Ja nie wiem, jak to się robi. - Była bliska łez. - Mam dorosłą córkę, która wychodzi za męża, ale nie wiem, co się robi w łóżku...

- Och, Hope! - Pocałował ją w czoło. - Z radością wszystkiego cię nauczę.

Kiedy się obudziła, nie miała najmniejszych wątpliwości, gdzie jest i czyje ramię obejmuje ją tak zaborczym gestem.

Matthew, powiedziała bezgłośnie, spoglądając na uśpionego mężczyznę. Odczuwała nieprzepartą chęć, by poczuć pod palcami tę podniecającą

szorstkość jego policzka. Powstrzymała ją jednak świadomość, że jest zmęczony i potrzebuje snu.

Powinna być tak samo wyczerpana jak on, ale lekkość, jaką odczuła, zrzuciwszy z serca ciężar, który ją przygniatał od blisko dwudziestu lat, tchnęła w nią nowe życie.

Być może jest to stan uniesienia wywołany świadomością, że oto nareszcie poznała tę drugą stronę swojej osobowości: kobiecą i cudownie rozwiązałą, której istnienia nigdy nie podejrzewała, dopóki Matthew jej nie rozbudził.

- Jesteś rozpuśta... - wyszeptał jej prosto do ucha, pieszcząc jej nabrzmiałe piersi. - Jakie myśli tak cię podnieciły? Niewdzięczna... Człowiek tyra całą noc, ucząc ją zmysłowości, o której niby to nie miała pojęcia, a ona budzi go o świcie i sama zaczyna...

Jęknęła z rozkoszy, gdy jego wargi dotknęły jej ust, i mocniej objęła go udami.

- Teraz, proszę...

- Kobieto, ty mnie wykończysz! - mruknął w poduszkę tuż przy jej głowie.

Chciał ją uwolnić od swojego ciężaru, lecz ona jeszcze mocniej objęła go ramionami i nogami.

- Ale jaka to przyjemna śmierć...

- Zapomniałaś o umiarkowaniu?

- Precz z umiarkowaniem! Przy tobie wcale nie mam ochoty na umiarkowanie! - Usłyszała jego stłumiony śmiech. - Z czego się śmiejesz?

- Przyznaję, że i ja nigdy nie byłem dalszy od umiarkowania.

Ujął jej twarz w dłonie i spojrzał w oczy.

- Hope, jesteś przepiękna. W każdym miejscu. Pocałował ją tak czule, że omal się nie rozpląkała.

Weekend upłynął im na spacerach po ogrodzie różanym i na rozmowach przy wspaniale wyglądających posiłkach, ale wystarczyło, że wymienili to jedno szczególne spojrzenie, by ruszali pospiesznie na górę, do pokoju.

Dopiero przed samym wyjazdem, pakując się, Hope zaczęła wracać na ziemię.

Rano spotkają się na dyżurze w szpitalu, a tam już nie będą mogli trzymać się za ręce ani patrzeć sobie w oczy.

Czy cały urok pryśnie, gdy stąd wyjadą? Czy był to tylko epizod, mający im pomóc w rozładowaniu stresów i napięć?

Doszła do wniosku, że takich pytań nie może zadać nawet jemu.

Już w samochodzie zastanawiała się, czy Matthew rozmyśla nad tym, w jaki sposób jej się pozbyć.

Nie chciała utracić tej dopiero co odkrytej bliskości, ale wieloletni nawyk samodzielności kazał jej przygotować się na najgorsze.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczna - zaczęła, gdy przystanęli pod jej domem i sięgnęła do klamki, by otworzyć drzwiczki. - Nie masz pojęcia, ile dla mnie znaczą te dwa dni. Nigdy ich nie zapomnę.

Mówiła to wszystko z głębi serca.

- Czy mogę jeszcze wejść na herbatę? Nie jest za późno? - zapytał, sięgając po jej bagaż.

Marzyła, by spędzić z nim jeszcze kilka chwil, lecz jednocześnie wiedziała, że to przedłuży bolesny koniec.

- Strasznie jestem zmęczona - odparła cicho. - Muszę jeszcze dzisiaj posprzątać, żeby jutro zdążyć na dyżur. - Stojąc w drzwiach, odwróciła się, by na niego spojrzeć. - Zobaczymy się jutro w pracy.

- Co ci jest, Hope? - Nic nie umykało jego przenikliwemu spojrzeniu. - Zaczynasz żałować, że ze mną pojechałaś? Czy to chciałaś mi powiedzieć?

- Wcale nie pojechałam z tobą. Nie wiedziałam, że ty też tam będziesz.

- To prawda - przyznał. - Ale mam wrażenie, że nie żałujesz.

Bardzo chciała przyznać mu rację. Marzyła wręcz, by go wciągnąć do domu i znowu znaleźć się z nim w sypialni, jednak z braku doświadczenia nie wiedziała, czy on także tego pragnie.

Był taki małowówny w drodze powrotnej. Na pewno dlatego, że żałował zmarnowanego weekendu.

- Nie mam teraz czasu na rozmowy. Czeka mnie jeszcze mnóstwo do zrobienia - powiedziała cicho.

- Rozumiem, Hope. - Postawił jej torbę na ziemi, po czym wyprostował się, chwycił ją w ramiona i całował długo i gorąco. - Dobranoc, skarbie. Do zobaczenia jutro rano.

Pospiesznie zamknęła drzwi, lecz pobiegła do kuchni, by ukradkiem popatrzeć, jak Matt wsiada do samochodu i odjeżdża.

- Co ty wyprawiasz?! - szepnęła do siebie. - Dojrzała kobieta nie zachowuje się jak duma, zakochana nastolatka. Wszystko przez te cholerne hormony!

Przeszła do salonu i przestawiła na inne miejsce stół do kawy.

Nie warto żałować rozlanego mleka, pomyślała, usiłując zapanować nad goryczą. Jeśli zajmę się czymś pożytecznym, to zapomnę, że go tu nie ma. Odsunęła resztę mebli i zajęła się upinaniem wykroju.

Rano bolał ją krzyż, ponieważ wiele godzin ślęczała nad suknią Jane. Drobną pomyłką na tym najważniejszym etapie mogła zrujnować cały efekt końcowy.

Niezbyt chętnie myślała o pozostałych dwóch sukniach, ale po pierwsze dała słowo, że je uszyje, a po drugie postanowiła, że - wbrew insynuacjom córki - wszystkie stroje będą najprzedniejszej jakości.

Dziwnie się czuła następnego dnia, wchodząc rano na oddział. Mimo że opuściła go zaledwie dwa dni temu, miała wrażenie, że od tej pory upłynęło co najmniej dwadzieścia lat.

Osoba, która stąd wyszła w czwartek, była odrętwiała na skutek traumatycznego przeżycia, siostra Morgan natomiast, ta, która teraz zaczyna dyżur, jest kobietą, którą powinna była się stać wiele lat temu.

- Dzień dobry - powitała ją radośnie Maggie. - Pytał o ciebie doktor Benedict.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Serce w niej aż podskoczyło z radości. Nie było jej dane przygotować się na spotkanie z przeznaczeniem.

- Mówił, o co mu chodzi? - zapytała, jak zwykle chowając torebkę do szuflady.

Udawała bardzo zajęta, by nie spotkać wzroku koleżanki.

- Nie. Prosił, żebyś się z nim skontaktowała, jak tylko przyjdiesz. - Maggie zerknęła w stronę drzwi. - Słyszałaś najnowsze wieści?

- O kim?

Hope zastanawiała się, czego Matthew może od niej chcieć.

- No, o naszym doktorze... Hope, naprawdę czasami mam wątpliwości, czy jesteś istotą ciepłokrwistą.

Maggie taki już miała sposób bycia i trudno było się na nią obrazić.

- Jakie wieści?

- Słuchaj... - Maggie usadowiła się wygodnie na biurku, gotowa do dłuższej pogawędki. - Sama dobrze wiesz, że od kiedy do nas przyszedł, kocha się w nim połowa personelu, ta żeńska. Nawet piękna Samantha z położniczego, ale on tego nie widzi. Wyobraź sobie, podobno się zakochał!

Maggie wbiła w Hope oczy i czekała na jej reakcję.

- W kim? - wykrztusiła Hope z trudem.

- To jest właśnie najciekawsze. Nikt nie ma zielonego pojęcia.

- No to skąd wiadomo, że tak jest?

Hope wstrzymała oddech, czekając na potwierdzenie swoich podejrzeń, że doktor Benedict może sobie pozwolić na dwudniową przygodę z kimś takim jak Hope Morgan, ponieważ może wybierać z setek kobiet.

- Ktoś widział w jego samochodzie szalową blondynkę, ale nie zdążył zobaczyć jej twarzy.

- Może ją tylko gdzieś podwoził? - zasugerowała Hope, bardziej, by pokryć rozczarowanie, niż dostarczyć Mattowi alibi.

- To niemożliwe! Wystarczy dzisiaj na niego popatrzeć. Wziął dwa dni wolnego i wrócił wykończony. A jaki jest z siebie zadowolony...

Ostatnie dwa dni Matthew spędził z...

Nagle Hope pojęła, że to ona jest tą szalową blondynką, tematem domysłów całego szpitala!

Oniemiała. Dopiero po dłuższej chwili zdała sobie sprawę, jak bardzo ucierpiałyby ich opinia, gdyby ten wypad wyszedł na jaw.

- No i co ty na to? - dociekała Maggie.

- Zdaje się, że działy się tu ciekawe rzeczy pod moją nieobecność - mruknęła dyplomatycznie Hope.

- Sporo straciłaś. Słuchaj, jak go zobaczysz, spróbuj go delikatnie wy badać - zaproponowała Maggie z błyskiem w oku. - Pielęgniarki z sali operacyjnej obiecały nagrodę za informacje o tej dziewczynie.

- Wariatki! Chyba nie macie nic lepszego do roboty. Maggie zeskoczyła z biurka i z dłońmi złożonymi w błagalnym geście, ruszyła ku drzwiom.

- Dobrze, dobrze, już idę. Tak mi dziękujesz za to, że o wszystkim cię informuję?

Gdy Hope została sama, podniosła słuchawkę telefonu. Dlaczego Matthew chce się z nią zobaczyć? Może dowiedział się o tych plotkach i chce się upewnić, że to nie ona je rozpowszechnia?

Wolałyby odwlec tę rozmowę, ale szpitalny obyczaj nakazuje podporządkować się życzeniu lekarza konsultanta. Może chodzi mu o ostatnie dwa dni, ale możliwe, że ważniejsze jest życie pacjenta.

- Doktor Benedict chciał ze mną rozmawiać - poinformowała krótko sekretarkę. - Mówi siostra Morgan z pediatrii.

- Niestety, nic mi nie mówił. Jest teraz na sali operacyjnej. Czy mam mu przekazać wiadomość, czy poprosić, żeby do pani zadzwonił, jak skończy?

- Niech się ze mną skontaktuje - odparła Hope, czując ogromną ulgę z powodu odroczenia rozmowy.

Przez cały dzień wisiał nad nią ten miecz Damoklesa. Dzięki Bogu nie miała zbyt wiele czasu, by o nim rozmyślać. Postarali się już o to pacjenci i ich zatroskani rodzice.

- Siostro...

W progu stała nowa pielęgniarka.

- Co się stało, Lauro? Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że masz jakieś problemy?

- Nie zdawałam sobie sprawy, że na oddziale dziecięcym jest zupełnie inaczej niż gdzie indziej. - Dziewczyna opadła na fotel. - Z dorosłymi pacjentami można rozmawiać, można ich przekonywać, a ci tutaj... Równie dobrze mogliby przylecieć z Marsa. Nic do nich nie przemawia.

Hope czekała cierpliwie na dalszy ciąg żalów.

- Chciałam zrobić specjalizację z pediatrii, ale widzę, że to nie dla mnie!

- Co ci tak popsło humor? Coś się stało?

- Mam im zmierzyć temperaturę, ale Tanis nie chce otworzyć buzi. Przecież nie mogę mu na siłę wcisnąć termometru. Poza tym, on może mnie ugryźć!

Chłopczyk, który doprowadził Laurę do rozpacz, znalazł się w szpitalu na obserwacji po poważnym upadku, lecz był dzieckiem samotnej matki i odczuwał brak jej krzepiącej obecności. Ona zaś nie mogła zwolnić się z pracy, by dotrzymać mu towarzystwa.

- Masz rodzeństwo? - zapytała Hope, szukając sposobu rozwiązania kłopotliwej sytuacji.

- Nie. Jestem jedynaczką.

- A może masz w domu jakiegoś zwierzaka?

- Nie, ale kiedyś jeździłam konno. Co to ma do rzeczy?

- Przeczytałam gdzieś, że każda dziewczynka powinna jeździć konno, żeby już w młodym wieku nauczyć się panowania nad czymś większym i głępszym niż ona.

Laura rzuciła Hope zdumione spojrzenie, po czym roześmiała się.

- Rozumiem. Odwrócić uwagę i działać?

- Otóż to. Opieka nad dziećmi bywa trudna, ale pokonywanie tych trudności daje ogromną satysfakcję. Idź do niego. Zobaczymy, jak ci się uda tym razem.

Bez skrupułów podsłuchiwała, co dzieje się w sali, świadoma, że pomaga Laurze przebrnąć przez jej pierwszy trudny dzień na tym oddziale. Wiedziała również, że młoda pielęgniarka musi zacząć sama sobie radzić.

Laura usiadła przy łóżku chłopca z pudełkiem różnych drobiazgów. Czterolatek popatrzył na nią podejrzliwie i zacisnął wargi.

- Znasz mojego misia? - Laura sięgnęła po pluszową zabawkę. - Spadł z drzewa i uderzył się w głowę. Muszę mu ją zabandażować.

Robiła to bardzo niezdarnie, więc chłopczyk pospieszył jej z pomocą. Po chwili sam jej podpowiedział, że misiowi trzeba zmierzyć temperaturę. W tej samej chwili pojął, że i on musi poddać się temu zabiegowi.

- Gratuluję - szepnęła Hope. - Myślę, że wkrótce zostaniesz pielęgniarką na którymś z oddziałów pediatrycznych!

Po męczącym dyżurze Hope pragnęła jak najszybciej wrócić do domu. Najchętniej poszłaby od razu spać, ale czekało ją jeszcze mnóstwo szycia.

Musi jak najprędzej sfastrygować suknię ślubną z kremowego jedwabiu.

Kilka godzin później zauważyła, że kawa w kubku jest zupełnie zimna. Gdy zastanawiała się, czy warto wstać, by zrobić nową, rozległ się dzwonek do drzwi.

- A to kto?! - Spojrzała na zegar. - Po dziesiątej. O tej porze? Może to...

Przypomniała sobie zakłopotanie sąsiada staruszka i pomyślała, że to pewnie on. Szybko, bo pomyśli, że wyciągnął mnie z łóżka! - powiedziała sobie i ostrożnie przeszła wśród kawałków jedwabiu.

Dzwonek zadzwonił raz jeszcze.

- Hope...

Gdy w drzwiach stanął Matthew, zaparło jej dech w piersiach. Kiedy kończyła dziś dyżur, cieszyła się, że spotka go dopiero następnego dnia.

- Mogę wejść?

Dopiero po chwili dotarł do niej sens tego pytania.

- Nie!

Przytrzymała drzwi, nie bardzo wiedząc, jak powinna się zachować. Na całej podłodze leżała rozłożona suknia Jane.

- Przyszedłem nie w porę? - Ściągnął brwi. - Hope, muszę z tobą porozmawiać.

- Jutro. Przecież spotkamy się w szpitalu.

- Możemy nie mieć okazji, tak jak dzisiaj. Poza tym - przeszył ją spojrzeniem - to nie może czekać do jutra.

Wtargnął do środka i zamknął drzwi.

- Matthew!

Nie była w stanie zagrozić mu drogi. Nim zdążyła zażądać wyjaśnień, znalazła się w jego ramionach. Matt pochylił się nad nią.

- To nie może czekać...

Jego usta przywarły do jej warg. Odwzajemniła ten pocałunek, natychmiast zapominając o wszystkich wcześniejszych obietnicach.

- Stęskniłem się - szeptał, całując jej twarz i szyję.

- Przez cały dzień chciałem dotrzeć na twój oddział, ale bez przerwy gdzieś mnie wzywano.

Urwał, wyczuwając pod palcami jej jędrne ciało.

- Chcę cię...

Jednym ruchem ściągnął jej bluzkę.

- Matt...

Ogarnęła ją całkowita niemoc i gdyby nie jego ramiona, na pewno osunęłaby się na ziemię.

- Hope?

W jego głosie zabrzmiała prośba, której nie potrafiła się oprzeć.

Objęła go za szyję, a on podniósł ją i oparł o solidne drzwi.

- Tutaj? - szepnęła zaskoczona.

- Tutaj, teraz...

Gdy ich ciała złączyły się, westchnął z rozkoszy. Po chwili oboje wzniesli się na jej szczyty.

- Matthew... - Hope z trudnością chwytając oddech.

- Dlaczego?

- Co takiego?

- Dlaczego tutaj?

- Chcesz poznać prawdę? - Popatrzył jej prosto w oczy. - Bo już dłużej nie mogłem wytrzymać...

Pierwszy raz w życiu usłyszała coś takiego, a na dodatek nikt jeszcze nie patrzył na nią spojrzeniem tak pełnym pożądania...

- Zawsze tak robisz? - szepnęła, odwracając wzrok.

- Nigdy - odparł zdecydowanym tonem. - Nigdy przedtem żadnej kobiety nie pragnąłem aż tak bardzo.

Jakiś czas później siedział w kuchni z kubkiem czarnej kawy. Wcześniej zjadł omlet przygotowany przez Hope. Zamyślony wpatrywał się w resztki kawy. W końcu przemówił.

- Dlaczego nie chciałaś mnie wpuścić? Dlaczego nie chciałaś, żebym wszedł do twojego domu?

Hope odetchnęła z ulgą.

- Chodź, pokażę ci. - Wzięła go za rękę. - Popatrz. Drzę na myśl, że coś mogłoby się popsuć, zanim to skończę.

- Jaki piękny materiał... - Objął ją. - Czy szycie tej sukni sprawia ci przyjemność?

- I tak, i nie. Z jednej strony czuję się strasznie ważna, bo Jane w tym stroju będzie w samym centrum zainteresowania, z drugiej boję się jej reakcji, kiedy przyjedzie do przymiarki.

- Gniewacie się?

- Trudno to tak nazwać. W ogóle się do mnie nie odezwała. Najbardziej przejmuję się tą przymiarką. Musiałam przerobić cały wykrój, żeby go dopasować do jej wymiarów. Zobaczyłam też, że wybrała fason z ogromnym dekoltem z przodu i na plecach, i strasznie opięty aż do bioder.

- Domyślam się, że pozwoliłaś sobie jednak na pewne zmiany.

- Tak. Zmieniłam rękawy, które jej się nie podobały, ale oprócz tego nieco zmniejszyłam dekolt, a obcisły stan zakończyłam z tyłu czymś w rodzaju trenu. Taki fason jedynie sugeruje ukryte kształty, zamiast je podkreślać.

- Po co to wszystko? - zapytał wyraźnie zdziwiony.

- Taki fason może mieć suknia wieczorowa, a nie ślubna, w której otrzymuje się sakrament. Nie wypada pokazywać tyle obnażonego ciała. Co innego, gdyby to była tylko cywilna uroczystość, w urzędzie...

- Boisz się jej wizyty, bo myślisz, że nie spodoba jej się te zmiany?

- Chyba tak, chociaż bez trudu mogę wszystko zwęzić i powiększyć dekolt. Mam nadzieję, że jak się w niej zobaczy, spodoba jej się. - Hope westchnęła. - Przyznam, że po raz pierwszy w życiu nie cieszę się na myśl o spotkaniu z nią i bardzo mnie to martwi.

Patrząc na symbol nowego życia Jane, Hope nagle poczuła się bardzo stara.

- Jak ten czas leci... Tak niedawno sama miałam osiemnaście lat i całe życie przed sobą, a tu, nim się obejrzałam, mam je już za sobą.

- Masz jeszcze bardzo daleko do końca, skarbie. Puściła mimo uszu jego ciepłe słowa.

- Muszę już iść spać, Matt. Nie mogę opuszczać się w pracy z powodu zmęczenia.

- Dobranoc, kochanie. Do zobaczenia jutro - szepną}, po czym cicho zamknęły drzwi.

Na oddziale powitał ją żaloszny płacz dziecka.

- Dzień dobry, siostrz.

Po tych słowach Matthew przedstawił jej nową pacjentkę:

- To jest Amy Harper. - Uśmiechnął się do zapłakanej dziewczynki, która siedziała na kolanach matki. - Rodzice poszli z Amy do lekarza, ponieważ miała wysoką temperaturę, nie chciała jeść, stale kazała się nosić i narzekała na ból w biodrze.

- Byliśmy u lekarza dwa tygodnie temu, po tym, jak Amy się przewróciła - wyjaśniła pani Harper. - Miała ogromnego siniaka na udzie, ale wydawało się nam, że znika. Teraz Amy mówi, że znowu ją boli, a to miejsce jest gorące i zaczerwienione.

- Siostra Scott już pobrała krew i posłała ją do analizy. Zaraz zrobimy Amy prześwietlenie - poinformował Matt. - Na razie, zanim przyjdą wyniki, trzeba jej podać środek przeciwbólowy i zapewnić spokój.

Trzeba było nie lada zabiegów, by uspokoić Amy, która okazała się jedynym dzieckiem nadopiekuńczych rodziców.

W końcu Hope, pod pretekstem załatwienia różnych formalności, odesłała z pokoju najpierw ojca, a potem matkę, by walczyć tylko z dzieckiem i jednym z rodziców. Gdy środki przeciwbólowe zaczęły działać, dziewczynka i rodzice powoli się uspokajali.

Niestety, wyniki badań laboratoryjnych okazały się niepomysłne. Hope poprosiła Matta, by porozmawiał z rodzicami.

- Upadek uszkodził górną część kości udowej, tuż przy stawie biodrowym - zaczął ostrożnie. - Wdało się zakażenie. Przez kilka tygodni Amy będzie musiała brać antybiotyki.

- De tabletek? Ona ma poważne kłopoty z polykaniem.

- Na początek będzie je otrzymywać dożylnie, w szpitalu. Musimy ustalić ich poziom we krwi. Założymy jej gips, co powinno złagodzić ból.

- Czy będzie miała zniekształconą nogę? - zaniepokoił się ojciec. Był bład jak ściana. - Czy takie zakażenie, nie leczone, może się rozprzestrzenić?

- Badania laboratoryjne wykazały, że zgłosili się państwo w samą porę, więc szanse na wyleczenie są znaczne. Nie leczone zapalenie szpiku i kości samo nie przechodzi.

- Jak długo Amy zostanie w szpitalu? Ona tak lubi szkołę...

- Proszę się tym nie martwić. - Hope włączyła się do rozmowy. - Do naszego szpitala przychodzi nauczycielka, która pomaga dzieciom nadrabiać zaległości. Proszę się tylko dowiedzieć, co teraz przerabia w klasie, a my już dopilnujemy, żeby się tego nauczyła.

- Czy mają państwo jeszcze jakieś pytania? - ciągnął Matthew. - Zapewne teraz trudno państwu pozbierać myśli, ale później proszę ze wszystkimi pytaniami zwracać się do siostry Morgan.

- Jeżeli nie będę znała odpowiedzi, zapytamy doktora Benedicta, który stale zagląda na nasz oddział - dorzuciła Hope. - Widzę, że Amy zasnęła. Proponuję, żeby korzystając z okazji, rozejrzeli się państwo po szpitalu.

- Mamy bufet, w którym jest wszystko, od napojów do gorących posiłków. Radzę usiąść przy kawie i spokojnie porozmawiać. Państwa rola w rehabilitacji córki będzie nader istotna, więc trzeba się do tego psychicznie przygotować.

Rodzice upewnili się, że dziewczynka śpi, i oznajmili, że wrócą za godzinę.

- Jakie uszkodzenia wykazało prześwietlenie? - zapytała po ich wyjściu Hope.

- W tym wieku choroba rozwija się co najmniej przez pięć dni. Na razie ślady zapalenia są minimalne. Zdjęcia nie wykazują żadnych zwyrodnień.

- To znaczy, że mogą stanowić punkt odniesienia w procesie kuracji?

- Oczywiście. Poproś kogoś, żeby pilnował jej kroplówki. Takiemu maluchowi czasami należy zmienić miejsce wkłucia albo zwiększyć przepływ.

- Przydzielę też kogoś, żeby obserwował jej reakcję na leki. Rodzicie twierdzą, że Amy jeszcze nigdy nie brała antybiotyków, a my możemy być zmuszeni dać jej niezły antybiotykowy koktajl. Lepiej, żeby ktoś jej pilnował.

- Są do mnie jeszcze jakieś sprawy? - spytał Matthew, przeglądając notatki. - Jeżeli nie ma, możemy pójść na kawę i zaopiekować się jakimiś herbatnikami.

Hope wiedziała, że ta propozycja nie wzbudzi niczyich podejrzeń. Jednocześnie była świadoma, że nikt z personelu nie widział tych wymownych ogników w jego oczach, kiedy wspomniał o ciasteczkach.

Tylko ona wiedziała, że zamigotały dla niej, a nie dla jakichś tam herbatników.

- Nie powinieneś iść do sali operacyjnej? Może czeka tam na ciebie jakiś pacjent, a ty będziesz się tutaj objadał ciasteczkami?

Mimo że otwarte drzwi i szklana ściana pozwalały im jedynie na rozmowę, w pokoju zapanowała atmosfera naładowana nie wypowiedzianymi myślami, pragnieniami i wspomnieniami.

Oboje czerpali z niej energię do dalszej pracy i nawet gdy zapiszczał pager, wzywający Matta na izbę przyjęć, Hope czuła przyjemne ciepło wokół serca.

Tydzień mijał na oddziale bez większych wstrząsów, a szycie ślubnych sukni posuwało się do przodu nadspodziewanie szybko.

Hope i Matthew udało się nawet znaleźć czas na kolację w restauracji, drugim zaś razem na długi wieczorny spacer. Najczęściej jednak spędzali czas w domu Hope: Matthew oddawał się wówczas gotowaniu, a Hope szyła.

Za każdym razem, gdy podnosił się do wyjścia, Hope wyrzucała sobie, że nie potrafi poprosić go, by został u niej na noc. Marzyła, by obudzić się rano u jego boku, nie umiała jednak zdobyć się na odwagę.

Wmawiała sobie wprawdzie, że dzieje się tak z powodu zapowiadanej wizyty Jane, która miała w nadchodzący weekend mierzyć suknię, ale w głębi duszy wiedziała, że przyczyną tego wahania jest jej brak pewności siebie.

W końcu musiała przyznać, iż tak długo stroniła od kontaktów z ludźmi, że straciła wiarę w siebie i wołała traktować tę znajomość jako przelotny romans, a nie coś, co by nadało jej życiu głębszy sens.

- Moja córka ma więcej odwagi niż ja - stwierdziła, ścieląc łóżko Jane. - Decydując się na ślub z Edwardem, postanowiła skoczyć od razu na głęboką wodę, gdy ja tymczasem weszłam do niej tylko po kostki...

Omiotła spojrzeniem cały pokój. Sypialnia Jane była większa niż jej pokój. Do tej pory Hope nie wyobrażała sobie, że rzeczy córki mogłyby stąd zniknąć. Teraz jednak dotarło do niej, że wkrótce Jane już właściwie nie będzie z niego korzystała i że ona sama może się do niego przenieść.

- Tutaj zostałyby całe szycie, mój warsztat krawiecki - planowała, stojąc w drzwiach swojej sypialni. - Łóżko poszłoby tam, a tu można postawić leżankę dla gości.

W pierwszej chwili jej plany rozbawiły Matta, lecz wieczorem, gdy leżeli ciasno przytuleni do siebie, oświadczył, że rozumie jej motywę.

- Trochę to przypomina żałobę. Twój układ z córką uległ zmianie, a ponieważ ona tu nie wróci, musisz przejąć jej terytorium.

Pogładził ją po włosach.

- Masz rację. Poza tym jej pokój jest większy i zmieści się w nim podwójne łóżko.

Urwała zdumiona słowami, które bezwiednie jej się wyrwały. Jednoznacznie przecież sugerowały, że ma ochotę dzielić to łóżko z Mattem.

- Wolę to twoje małe, przytulne łóżeczko. - Taka odpowiedź na nowo rozbudziła jej niepokój. - Za to na podwójnym będzie więcej miejsca do igraszek!

Obydwoje wybuchnęli radosnym śmiechem.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Przywiozłam Anne i Liz - oznajmiła Jane, stając w progu rodzinnego domu w piątkowy wieczór. - Uznałam, że łatwiej będzie, jak załatwimy wszystko za jednym zamachem.

Hope ze ściśniętym sercem patrzyła, jak wносиły swoje bagaże do jej ciasnego przedpokoju. Miała nadzieję, że w trakcie tego weekendu nadarzy się okazja, by porozmawiać z Jane w cztery oczy i wyjaśnić pewne sprawy. Zabierając z sobą koleżanki, Jane na pewno chciała do tego nie dopuścić.

- Gdzie ja was położę?

Patrzyła bezradnie, jak Jane dobiera się do lodówki, która nie była przygotowana na taką liczbę gości.

- Nie ma sprawy! - Dziewczyna machnęła w powietrzu zdobyczym udkiem kurczaka. - One mają śpiwory. Daj im tylko jakieś poduszki. Co chcecie do picia? - rzuciła, sięgając po czajnik.

Przymiarka zaczęła się dopiero godzinę później, a na dodatek dziewczęta nie potrafiły ani przez chwilę stać spokojnie. Hope zorientowała się, że nie wystarczy jedno spotkanie.

Obecność trzech osób, kręcących się po salonie z filiżankami z kawą, zmusiła ją do przeniesienia się z poprawkami przy kremowej sukni Jane do swojego pokoju na piętrze.

Już po północy, odgłosy dobiegające z dołu kazały jej się domyślić, że goście oglądają w telewizji nocny seans filmowy.

Jako perfekcjonistka, wszywała wszystkie zamki błyskawiczne ręcznie, żeby nie było ich widać na fotografiach. Postanowiła, że nie pójdzie spać, dopóki nie wszy-je wszystkich trzech.

Wstała wcześniej rano, żeby przyfastrygować rękawy i upiąć dolny brzeg kreacji, po czym okazało się, że musi czekać bezczynnie, aż pannie łaskawie wynurzą się z sypialni Jane.

Kiedy cała trójka wyjechała w niedzielę po południu, Hope ledwie trzymała się na nogach.

Poprzedniego wieczoru Jane postanowiła ręcznie obrębić dół swojej sukni, co zajęło jej kilka godzin. Przez cały czas przyjaciółki zabawiały ją rozmową, nastawiając przy tym głośną muzykę.

Ponieważ Liz i Ann nie kupiły jeszcze pantofli, nie było wiadomo, jaka ma być długość ich sukni. Jane zaofiarowała się, że podszyje także ich stroje.

- Nie opłaca się nam przyjeżdżać tutaj drugi raz - oświadczyła Jane ze śmiechem. - Wszystko jest już prawie gotowe. Resztę mogę wykończyć sama. Będziesz za to miała więcej czasu na tort!

Zapakowały suknie do plastikowych worków na śmieci, wrzuciły do bagażnika razem z torbami i odjechały.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy Hope lustrowała pobojuwisko w salonie. W słuchawce rozległ się głos Matta, który tym razem był mrukliwy:

- Są tam jeszcze? Mogę już przyjść?

- Przed chwilą odjechały, ale cały dom wygląda jak po wybuchu.

- A gdybym tak przyjechał i zrobił ci coś do jedzenia? Mam wrażenie, że jesteś wykończona.

- Ledwie żyję. Ale z gotowania nic nie będzie, bo lodówka jest pusta. Jak po inwazji szarańczy.

- W takim razie kupię coś po drodze - obiecał. - Nie sprzątaj, tylko usiądź i odpoczywaj. Zaraz u ciebie będę.

Gdy parkował przed jej domem, salon wyglądał już jako tako, a Hope właśnie ustawiała w zlewie ostatnią partię naczyń, która pozostała do umycia.

- Uparta babo, mówiłem ci, żebyś nie sprzątała - gderał, wnosząc do kuchni torby z gorącymi daniami.

- Sam widzisz, że niczego nie sprzątałam. Gdyby Jane przyjechała sama, kazałabym jej po sobie pozmywać, ale sprawa się skomplikowała, bo niespodziewanie przyjechały z nią koleżanki.

- Miałyście czas porozmawiać?

Otworzył szafkę, żeby wyjąć talerze, ale sięgnął w próżnię.

- Weź ścierkę, a ja coś tu znajdę. Wyłowiła ze zlewu dwa talerze.

- Miałaś odpoczywać. Po tym maratonie znowu będzie trzeba wywozić cię na wieś.

- Cieszę się, że nie muszę dzisiaj nic gotować - powiedziała i pocałowała go w policzek pachnący wodą o aromacie jakichś ziół i piżma.

- No - mruknął, odkładając ścierkę. - Daję ci pięć minut. - Sięgnął po talerze i torby, po czym ruszył do salonu.

Chwilę później zaprosił ją do elegancko nakrytego stołu. Na jego krańcach ustawił zapalone świece.

- Zapraszam jaśnie panią do stołu! - Ukłonił się nisko, jak zawodowy kelner. - Kolację podano.

- Ty wariacie! - Uśmiechnęła się szeroko. - Lubię takich wariatów.

- W takim razie odbiorę teraz tego całusa, którego jeszcze dzisiaj nie dostałem.

Objął ją. W tej samej chwili komuś głośno zaburczało w brzuchu. Wybuchnęli niepohamowanym śmiechem.

- To przez te wspaniałe zapachy - uznała Hópe, sadowiąc się przy stole. - Kurczak... fasolka... krewetki... Umieram z głodu!

Po kwadransie, popijając wino, rozsiedli się wygodnie na kanapie.

- Brakowało mi ciebie przez te dwa dni - wyznał, spoglądając jej w oczy.

- Ja też się za tobą stęskniłam. Mimo że dziewczyny gadały bez przerwy, a ja byłam przez cały czas zajęta, czułam się osamotniona.

- Ach, ta Hope. Taka bezpośrednia i szczerą. - Ujął jej dłoń. - Może właśnie dlatego cię pokochałem?

- Słucham?

Nie dowierzała własnym uszom. Nie spodziewała się takiego wyznania.

- Przepraszam, może jeszcze za wcześnie na takie słowa, ale kiedy powiedziałaś, że tęskniłaś za mną, nie mogłem się powstrzymać.

- Ja też cię kocham - wyrzuciła z siebie odważnie. - Naprawdę.

Łza wzruszenia spłynęła jej po policzku. Matt delikatnie wyjął jej kieliszek z ręki i odstawił na stół, po czym otoczył ją ramieniem.

- Co my teraz zrobimy? - szepnęła.

Nie mogła odegnąć uporczywej myśli o tym, że pracują w tym samym szpitalu i o zbliżającym się ślubie Jane i Edwarda.

- Wiem, że nie jestem zbyt atrakcyjny - zaczął. - Mam mnóstwo starokawalerskich nawyków i swoje lata...

W pierwszej chwili Hope pomyślała, że Matt żartuje, lecz zorientowała się, że on w to wszystko święcie wierzy. Przez cały rok nie zauważył, że połowa żeńskiego personelu szpitala świętego Augustyna kocha się w nim na zabój.

- Daj mi szansę - powiedział. - Spróbujmy.

- To zależy, co masz na myśli.
- Nie była pewna, o co mu chodzi. Chyba nie chce się z nią...?
- Pobierzmy się. - W jego głosie nie było cienia wahania. - Nie odpowiada mi sytuacja, w której musimy wykradać czas należny pacjentom po to, żeby być razem.
- Dlatego, że pracujemy w tym samym szpitalu?
- Wcale nie! Chcę, żebyśmy się pobrali, ponieważ szkoda naszego cennego czasu na kursowanie między moim domem i twoim. Można wtedy być razem. Poza tym nie lubię budzić się sam w łóżku, od kiedy poznałem przebudzenia przy tobie.
- Rozumiem cię doskonale, bo czuję to samo co ty. Nie lubię, kiedy wychodzisz. - Uśmiechnęła się nieśmiało, po czym westchnęła. - A Jane i Edward? Jak im to powiedzieć?...
- Wcale nie pragnę budzić się u ich boku - rzekł obojętnie. - Ich związek nie ma z nami nic wspólnego, poza tym, że zbliżył nas do siebie.
- Ale...
- Żadne ale! Zauważyłem cię już na tym koszmarnym koktajlu powitalnym, rok temu. Ale nic nie mogłem zrobić, ponieważ myślałem, że masz męża.
- Patrzyłeś na mnie z obrzydzeniem - wypomniała mu Hope.
- Słyszałem, co ci powiedziała Maggie Philip i doszedłem do wniosku, że nie bardzo przejmujesz się ślubnymi przysięgami. Dopiero po jakimś czasie dowiedziałem się, że twoje małżeństwo należy już do przeszłości.
- Nie interesowałeś się mną, ponieważ uznałeś, że już kogoś mam?
- Wręcz przeciwnie! Ale nie znam się na tych podchodach.
- Ja i podchody?! - Hope parsknęła śmiechem. - Czy strasznie się zawiodłeś, kiedy okazało się, że wolę gorącą czekoladę od szampana i kawioru?
- Nie. Ucieszyłem się. Nie lubię wystawności na pokaz.
- Ale... - zaczęła z wahaniem.
- No co?
- A ślub Edwarda?

Nagle pożałowała tego pytania. Po co ruszać ten temat? Wcale nie chciała psuć tak miłego wieczoru, ale dezaprobatą Matta wobec rozrzutności niezmiernie ją zaintrygowała.

- Jane nie wychowała się w zbytku, bo nie było mnie na to stać. Kiedy więc zaczęła mówić o wystawnym weselu, pomyślałam, że to Edward ma takie nawyki.

Matthew zaczerwienił się.

- To chyba rzeczywiście moja wina - przyznał. -Prawdopodobnie chciałem mu zrekompensować utratę rodziców.

- Dzieci bardzo szybko się orientują, co jest lepsze. Szkoda tylko, że tych dwoje wzięło sobie za punkt honoru wydać krocie na puste rekwizyty.

- O czym ty mówisz?

- Byłam gotowa sfinansować ślub Jane, ale kiedy zażądała ode mnie tego czeku, musiałam jej powiedzieć, że mnie na to nie stać. No i obraziła się. Kiedy w końcu znowu się do mnie odezwała, oświadczyła, że przemyśleli całą sprawę i postanowili zapłacić ze swoich kieszeni.

- Jane ci to powiedziała? - zapytał, zmieniony na twarzy.

- Tak. Z jednej strony było mi przykro, że wykluczili mnie bez mojej wiedzy, ale z drugiej byłam z nich dumna, że nie rezygnują ze swoich marzeń i że są skłonni sami ponieść koszty.

Milczenie Matta kazało jej przyjrzeć mu się uważniej.

- Dlaczego tak patrzysz?

- Hope... Wstał.

Ona zaś usiadła wyprostowana, gotowa usłyszeć najgorsze.

- Jane nie powiedziała ci prawdy.

- Jak to?

- Poprosili mnie, żebym zapłacił.

- Ciebie? - Poczula się zdradzona. - Oszukałeś mnie.

- Nie, Hope - zaprzeczył gorąco. - Powiedzieli mi, że ty...

Nie słuchała go.

Jane znowu mnie okłamała, myślała rozgoryczona. Od kiedy wyjechała do college'u, puściła w niepamięć przykazanie, które Hope wpajała jej od dziecka: mówić prawdę, za wszelką cenę.

- Jak mogłeś?! - wykrztusiła. - Jak długo jeszcze miałeś zamiar to przede mną ukrywać?

- Hope, nie miałem pojęcia, że ona ci o tym nie powiedziała. Nie wiedziałem, że każdemu z nas mówią co innego.

- Ile jeszcze kłamstw będę musiała wysłuchać?! - pytała histerycznym tonem. - Może niepotrzebnie marnuję czas na suknie i tort? Czy kiedy zjawię się w kościele, ujrzę ją w sukni od najsłynniejszego projektanta, którą jej kupiłeś, żeby nie musiała iść do ślubu w stroju posledniej jakości? Czy w hotelowej recepcji mam się spodziewać weselnego tortu od najlepszego cukiernika w mieście?

- Nie, Hope. Możesz być pewna, że nie zrobiłbym czegoś takiego.

Ból narastał w niej z zatrważającą prędkością, czyniąc ją ślepa na rozpacz w jego spojrzeniu i głosie.

- A to? - Wskazała na zastawiony stół. - Może to też jest nieprawdą?

Spojrzał na nią zdumiony, więc zerwała się z kanapy.

- Wyjdź stąd, Matt - syknęła przez zaciśnięte zęby, czując, jak otwiera się w niej bezgraniczna pustka.

- Nie, Hope. Musimy porozmawiać.

- Porozmawiać? - rzuciła ironicznie. - Wydawało mi się, że rozmawiamy od dobrych kilku tygodni, ale najwyraźniej oboje co innego przez to rozumiemy. Proszę cię, wyjdź.

- Kocham cię, Hope. Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

- Znaczyłoby, gdybym mogła uwierzyć, że mówisz prawdę. Ale nie mogę.

Otworzyła na oścież drzwi wyjściowe i spokojnie patrzyła, jak Matt sięga po marynarkę.

- Proszę cię, nie pozwól, żeby nasze dzieci stały między nami - powiedział ze smutkiem. - Zaszło jakieś głupie nieporozumienie.

- Trudno to nazwać nieporozumieniem. Od samego początku wiesz, co myślę o tym ślubie. Nie odważyliby się przyjść do ciebie, gdyby nie mieli pewności, że będziesz skłonny zrobić coś za moimi plecami.

Podszedł do niej, ale ona powstrzymała go gestem, czując, że nie zniesie jego dotyku.

- Idź już! - szepnęła i odwróciła głowę.

Następnego dnia niechętnie szła do pracy. Świadomość, że w szpitalu nieraz natknie się na Matta, nie pomagała jej pogodzić się z nagłą zmianą nastrojów, jakiej została poddana w ciągu kilkunastu minionych godzin.

Matczyna miłość pozwoliła jej wytłumaczyć zachowanie Jane niedojrzałością i egoizmem. Zapewne jedno i drugie z czasem przejdzie.

Najbardziej bolała ją dwulicowość Matta, który zgodził się zapłacić za pretensjonalne kaprysy dzieci bez porozumienia się z nią. Chyba zdążył już trocheja poznać? Czy bez tego proponowałby jej małżeństwo?

Odsunęła to wspomnienie. Nie wiedziała jeszcze, jak poradzić sobie z bólem spowodowanym stratą tego, co dopiero znalazła. Na razie jedynym wyjściem dla niej będzie praca.

- Mamy dzisiaj trzy operacje - oświadczyła Doris, przekazując jej oddział.
- Pierwszy jest Marc MacDowell. Wiek: cztery lata, ostatnia korekta twarzy. Operuje doktor Shaunessy, asystuje doktor Benedict.

Hope zerknęła na chłopca, który przekomarzał się ze swoim sąsiadem, nie zwracając uwagi na siedzących przy nim rodziców.

Mark urodził się z zajęczą wargą i rozszczepem podniebienia. Pierwszą operację przeszedł kilka godzin po urodzeniu, następną, podczas której dokonano zespolenia podniebienia, cztery miesiące później. Wszyscy mieli nadzieję, że dzisiejszy zabieg uzupełnienia chrząstki nosowej będzie już ostatnim.

- Siostrzo Morgan! Jestem tutaj! - wykrzyknął radośnie na jej widok.
- Cześć! Widzę cię. - Hope podeszła do jego łóżka, aby przywitać się z rodzicami. - Pytanie, w jakim Mark jest nastroju, byłoby chyba nie na miejscu - powiedziała.

- Jestem zdumiony - oznajmił ojciec. - To jasne, że on nie pamięta tamtych operacji, ale gdy doktor radził nam przyprowadzić go wcześniej do szpitala, żeby się nieco oswoił, nie przypuszczaliśmy, że on to potraktuje jak wspaniałą przygodę!

- Po operacji nie będzie taki rozkoszny. Dobry nastrój jednak ma istotne znaczenie. Żał mi maluchów, którym starsze dzieci opowiadają niestworzone rzeczy o szpitalach.

- Zastanawialiśmy się z żoną, czym wy go ogłuszycie przed zabiegiem - zażartował ojciec.

- Do tej pory jakoś zawsze dawaliśmy sobie radę. Hope uśmiechnęła się. W drzwiach pokazali się salowi.

- Kto jedzie pierwszy?

Młodszy mężczyzna udał, że podwija rękawy, szykując się do ciężkiej pracy.

- Ja! Ja! - krzyczał Mark, podskakując na łóżku.

- Czy to prawda, siostrze? - upewnił się młody człowiek, po czym z zafrasowaną miną podrapał się w głowę. - On ma tyle energii, że lepiej będzie, jak my usiadziemy na wózku, a on nas popcha!

Zanosiło się na dłuższą dyskusję. Hope tymczasem przejrzała dokumenty, które miały pojechać z Markiem.

Uważnie porównała dane na jego opaskach identyfikacyjnych na nadgarstkach z kartą, zanim oddalają Polly, która miała chłopca eskortować aż pod salę operacyjną. Tam już zajmie się nim doktor Shaunessy i... Matthew.

Na samą myśl o jego imieniu poczuła ból, więc odsunęła widok jego twarzy przed oczu, zepchnęła jak najdalej w mrok niepamięci.

Nie na długo. Pytali o niego pacjenci, rodzice i personel, a i on sam często zaglądał na oddział. Właśnie rozmawiał z rodzicami Marka.

- Jesteśmy zadowoleni z przebiegu operacji. Nie obejdzie się bez bólu i opuchlizny przez parę dni, ale wkrótce syn wróci do normy.

- Czy w trakcie operacji nie znaleźli tam panowie jakiegoś wyłącznika energii? - zażartował ojciec.

- Niestety. Muszą państwo jak najpełniej wykorzystać najbliższe godziny!

Nawet Hope ucieszyła ta chwila beztroski w miejscu, w którym tak często rozgrywają się tragedie.

Mimo że Matthew zawiódł jej zaufanie w życiu prywatnym, w niczym nie umniejszało to jej podziwu dla jego profesjonalizmu. Był po prostu świetnym lekarzem, uwielbianym przez pacjentów i ich rodziny.

Ja też go uwielbiam, usłyszała cichy, wewnętrzny głos...

Kocham go tak bardzo, że teraz, kiedy nie mogę z nim być, czuję się na pół martwa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Kiedy ją przywiozą?

Hope rozmawiała przez telefon, jednocześnie szukając w komputerze danych na temat nowej pacjentki. Westchnęła z ulgą, gdy na monitorze pojawiły się potrzebne jej informacje. Właściwie nie lubiła tego technicznego usprawnienia.

Ben Overton kiedyś nawet pozwolił sobie na uwagę, że dzieciaki z oddziału lepiej niż ona radziłyby sobie z komputerem.

- Alice Mary Harrison? - upewniła się Hope. - Za pół godziny?

Odwróciła się na odgłos kroków, a spostrzegłszy w drzwiach Matta, spieszyła się, niemal zapominając o swoim rozmówcy.

- Przyszedłeś po informacje o Alice Harrison? - spytała, starannie odkładając słuchawkę, aby na niego nie spojrzeć, nie ulec jego czarowi.

Mimo że upłynęło już tyle czasu od ich ostatniego spotkania w jej domu, szło jej to nader opornie.

- Zwlekaliśmy z hospitalizacją ze względu na jej inne dolegliwości, ale nawracające zapalenia płuc zaniepokoiły lekarza domowego Harrisonów.

- Kiedy operacja?

- Jak tylko jej stan się ustabilizuje. Biedne dziecko, przechorowało już pół roku...

Hope zerknęła na dane o dziewczynce.

- Nie dość, że urodziła się z syndromem Downa, to jeszcze ma spory przeciek w przegrodzie komorowej.

- Z tą wadą rodzi się aż trzydzieści pięć procent dzieci z Downem. Na dodatek często zapadają na białaczkę. Alice na razie tego uniknęła...

- Jakie badania i na kiedy? Rzeczowy ton był jej jedyną obroną.

- Byłoby dobrze jak najszybciej zrobić prześwietlenie klatki piersiowej i elektrokardiogram. Być może konieczne będzie cewnikowanie serca, żebyśmy mogli zaplanować przebieg operacji.

W tej samej chwili do pokoju weszła pacjentka, o której rozmawiali. Dziewczynka wprawdzie bacznie wszystkiemu się przyglądała, do każdej napotkanej osoby się uśmiechała, lecz mimo to nikt nie miał wątpliwości, że jest bardzo chora. Była blada, spocona i oddychała stanowczo za szybko.

- Witaj, skarbie - powitał ją Matthew.

Hope z zalem przypomniała sobie, że i ją kiedyś nazywał swoim skarbem.

- Prawdopodobnie będzie potrzebny tlen - zwróciła się do Maggie. - Trzeba ją ułożyć pod kątem czterdziestu pięciu stopni, żeby ułatwić oddychanie. W ten sposób odciążymy serce.

Maggie oddaliła się, by przygotować dziewczynce łóżko. Matthew tymczasem rozmawiał z zaniepokojonymi rodzicami Alice.

- Państwa lekarz postąpił bardzo rozsądnie, kierując ją do szpitala. Nadmierny wysiłek mógłby spowodować jeszcze groźniejsze komplikacje.

- Czy można teraz przeprowadzić operację? - Pani Harrison przytuliła dziecko. - Kiedy wykryto tę wadę, powiedziano nam, że będzie to możliwe dopiero dużo później.

- Wada tego typu często sama się cofa. To zależy od wielkości. W przypadku innych wad wolimy poczekać z operacją, aż dziecko nieco podrośnie, ponieważ wówczas szanse powodzenia są znacznie większe.

- Czy to znaczy, że Alice nie ma szans? - zapytał ojciec. - To nasza jedyna córka i chociaż bardzo przeżyliśmy fakt, że urodziła się z syndromem Downa, kochamy ją... Gdybyśmy ją stracili...

- Ryzyko jest duże - odparł szczerze Matthew. - Lepiej byłoby jeszcze trochę poczekać, ponieważ Alice jest trochę za mała. Lecz w jej przypadku będzie coraz gorzej.

- Co ją teraz czeka?

Ojciec dziecka był równie blady i spocony jak ono.

- Położymy ją do łóżka i damy tlen, żeby ułatwić jej oddychanie. Kiedy nieco odpocznie, zrobimy badania.

- Jakie?

- Będzie ich sporo. Poznamy wówczas stan jej serca oraz wielkość otworu między prawą i lewą komorą. Dopiero wtedy podejmiemy decyzję. Wypiszę teraz skierowania na badania. Gdyby państwo czegoś potrzebowali, proszę się ze mną kontaktować przez siostrę Morgan.

Hope patrzyła, jak jego zgarbiona sylwetka znika powoli w głębi korytarza. Potem odwróciła wzrok i skoncentrowała na zabiegach, którym poddawano Alice. Mała początkowo walczyła, gdy zakładano jej aparaturę tlenową, wkrótce jednak opuściły ją wszystkie siły.

Tydzień później Alice poddano operacji. Decyzję podjął Matthew, kiedy stało się jasne, że jej stan już bardziej się nie poprawi. Uczynił to bardzo niechętnie.

- Nadal ma za szybki oddech i ciągle jest bardzo słaba, ale ten szmer serca słychać w drugim końcu oddziału.

- Nie można poczekać jeszcze kilka dni?

Hope czasami występowała w roli adwokata diabła.

- Istnieje ryzyko kolejnej infekcji dróg oddechowych, a to by ją cofnęło do poprzedniego stanu. Jestem przekonany, że wtedy nie utrzymalibyśmy jej przy życiu.

- Takie miłe dziecko. A jaka była grzeczna podczas badań...

- Hope... - zaczął.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu spojrział na nią nie jak doktor Benedict, lecz jak Matthew, którego tak bardzo kochała.

- Nie, nie! - Z trudem wydobywała głos. - Nie mamy sobie nic do powiedzenia - szepnęła i ruszyła w stronę drzwi.

- Dzwoniła do mnie Jane.

Hope stanęła jak wryta.

- Jak jej się powodzi? Nie odezwała się do mnie od czasu przymiarki.

- Obrebiła wszystkie suknie. Była w Londynie kupić sobie buty. Hope, musimy porozmawiać.

- Nie, Matt. Tak jest lepiej.

- Dla kogo? - Jego słowa odbiły się nieprzyjemnym echem od szklanej ściany. - Ale niech ci będzie, skoro tak chcesz - powiedział półgłosem i wyszedł z pokoju.

Poczuła wyrzuty sumienia. Żałowała, że nie może go przywołać z powrotem. Udał się prosto na salę operacyjną, skąd nie wyjdzie przed końcem jej dyżuru.

Była także pewna, że nie zamierzał poruszać innego tematu niż ślub Jane. Sam powiedział przecież, że z nią rozmawiał, a Hope była taka spragniona wiadomości o córce.

Zadzwoiła do niej jeszcze tego samego wieczoru i po raz pierwszy od dawna nie odpowiedziała jej automatyczna sekretarka.

- Jane?

Prawie zaniemówiła, słysząc głos córki.

- Mama?

- Chciałam cię zawiadomić, że tort jest już gotowy - oznajmiła dzielnie.

- Jak się udał? - zapytała Jane bez większego entuzjazmu.

- Moim zdaniem nieźle. - Zawahała się. - Dekoracja jest tego samego koloru co suknia.

- O, to dobrze.

Hope odniosła wrażenie, że Jane oczekuje wyjaśnień, ale nic więcej nie przychodziło jej do głowy.

- Stryj Edwarda powiedział mi, że z nim rozmawiałaś.

- I co ty na to?

Hope poczuła się niepewnie.

- Na co? - spytała.

- Że poprosiłam go, żeby mnie poprowadził do ołtarza.

Hope oniemiała.

- Co ty na to? - nalegała Jane. - Co mu powiedziałaś?

- Nic. Nie wspomniał o tym, więc nie wiem, co...

- Mówiłaś, że rozmawialiście - rzekła Jane z pretensją w głosie.

- Powiedział mi, że obrębiłaś suknie...

- Gdybyś tak nie żałowała pieniędzy na mój ślub, na pewno by ci powiedział o naszej decyzji. Kiedy go poprosiliśmy, żeby zapłacił za wesele, zgodził się bez wahania. Nie tak jak ty. Wiedzieliśmy od samego początku, że będziesz chciała wszystko popsuć...

Hope nie słuchała dalej. Pojęła nagle, jak niesprawiedliwie oceniła rolę Matta w finansowaniu tego przedsięwzięcia. Stało się dla niej oczywiste, że nie wystąpił z tą inicjatywą za jej plecami. Padł natomiast ofiarą pary przebiegłych, samolubnych...

- Tak naprawdę to nie twoja sprawa - ciągnęła cierpkim tonem Jane - ponieważ to ja postanowiłam go o to poprosić. Dobrze, że babcia nie widzi, jak mi wszystkiego żałujesz.

- Słucham? O czym ty mówisz?!

- Wiem o tym już od dawna. Od babci.

- O czym?!

- To przez ciebie tata nie zaprowadzi mnie do ślubu! - zawołała córka z goryczą.

Dla Hope było to straszne oskarżenie.

- Co takiego?!

- Babcia powiedziała, że tata popełnił samobójstwo, ponieważ go nie kochałaś! Ty go do tego doprowadziłaś!

- Ileż to razy Hope modliła się, by Jane nie usłyszała tych kłamstw! - A potem odrzuciłaś jej pomoc i przez to zawsze byliśmy biedne i nigdy nie miałyśmy nic porządnego! Postanowiłam więc, że mój ślub będzie porządny. Mam prawo do wystawnego wesela!

Hope niewiele mogła powiedzieć wobec tak napastliwego ataku, pospiesznie więc zakończyła rozmowę. Powiedziała tylko, że nie ma nic przeciwko temu, by Matt poprowadził Jane do ołtarza, zresztą skoro sprawa jest już postanowiona, jej zgoda jest bez znaczenia.

- Czasami się zastanawiam, czy ja cokolwiek znaczę - mruknęła Hope do siebie.

Jak to się stało, że za słodkimi uśmiechami córki nie dostrzegła podłości?

Oczywiście teraz nie można zmienić już faktu, że matka Jona wpoila Jane tyle kłamstw. Hope nie chciała, by jej córka kiedykolwiek źle pomyślała o swym ojcu, toteż nie ujawniła jej prawdy, opowiadała natomiast wiele o cudownych dniach z jej dzieciństwa. Gdyby postanowiła być szczerą wobec córki, babka nie byłaby w stanie zatruć umysłu małej taką dawką jadu... Hope po prostu nie przyszło do głowy, że matka Jona postanowi aż tak okrutnie się zemścić...

Zresztą, nie pora teraz na rozpamiętywanie błędów przeszłości. Przed wszystkim musi skontaktować się z Mattem i przeprosić go za niesłuszne posądzenia.

Pojęła, że to jej własne lęki umożliwiły Jane wprowadzenie takiego zamętu do jej życia. Zawsze winiła siebie za to, że jej córka nie opływa w dostatki jak inne dzieci, wierząc jednocześnie, że wystarczy rekompensata w postaci bezgranicznej, macierzyńskiej miłości.

Okazało się, że to trochę za mało.

Uprzytomniła sobie też, że od jakiegoś już czasu córka odsuwa ją systematycznie na dalszy plan, jakby się jej wstydziła, jakby chciała ukryć przed światem fakt, że matka pracuje jako pielęgniarka.

Zaświtała jej w głowie jeszcze jedna gorzka myśl. Co się kryje za tą agresywną postawą Jane? Może chce doprowadzić do tego, by Hope w ogóle nie przyszła na ślub?

W ten sposób miałyby pewność, że jej nieokrzesała matka nie skompromituje jej w oczach nowych, wspaniałych przyjaciół.

Wzięła głęboki oddech i wstała. Trzeba wziąć się do roboty. Jutro rano, gdy tylko przyjdzie do szpitala, rozmówi się z Mattem. Wyjaśni mu zachowanie Jane i wytłumaczy swoją reakcję.

W głębi serca była przekonana, że nie da się odbudować tego, co było między nimi i co sama nieopatrznie zniszczyła, ale jeżeli Matt przyjmie jej przeprosiny, może przynajmniej pozostaną przyjaciółmi.

Przedstawi mu także swoje zastrzeżenia w sprawie ślubu Jane i wątpliwości, czy jej obecność będzie tam pożądana.

- Czy siostra już słyszała? - Na korytarzu zatrzymała ją matka Alice. - Operacja się udała. Byłam na oddziale dziecięcym, żeby im o tym powiedzieć.

- Jak się cieszę! - Hope uśmiechnęła się radośnie. - Będę trzymać kciuki, żeby Alice jak najszybciej do nas wróciła.

- Przed chwilą była tu pani Harrison - poinformował ją Ben, gdy weszła do dyżurki. - Przyszła do nas z najnowszymi wieściami o Alice.

- Wszystko mi opowiedziała już na korytarzu. Biedna kobieta, wygląda strasznie. Powinna teraz porządnie się wyspać.

- Nie tylko ona potrzebuje snu - rzucił wymownie Ben. - Cieszyłbym się, gdybym wiedział, że masz te sińce pod oczami, bo bankietowałaś całą noc, ale coś mi się wydaje, że od dłuższego czasu masz poważne kłopoty.

- Dzięki za troskliwość - mruknęła, unikając jego spojrzenia.

- Czy mogę ci jakoś pomóc? - zapytał z troską.

- Nie, kłopoty rodzinne. Sama muszę to załatwić. Ale to już niedługo... - Westchnęła ciężko. - Czy doktor Benedict pokazał się na oddziale?

- Wpadł na chwilę i powiedział, że jeszcze do nas zajrzy. Chcesz się z nim skontaktować?

- Nie spieszy mi się - rzuciła lekko, mimo że chciała jak najszybciej mieć za sobą tę nieprzyjemną rozmowę. - Co nowego na oddziale?

- Wczorajem przywieziono na obserwację pacjenta po upadku oraz dziewczynkę ze stanem astmatycznym. A poza tym wszystko w normie.

- W normie?! - ofuknęła go. - Jaka norma obowiązuje na oddziale pełnym chorych dzieci?

W tej samej chwili pielęgniarka z izby przyjęć zapytała, czy mają wolne łóżko.

- Simon Barker, lat siedem, diagnoza: choroba Per-thesa. Musi leżeć z nogą podwieszoną na wyciągu.

Hope wzięła się do pracy. Simon będzie na oddziale przez dłuższy czas. Trzeba go położyć w takim miejscu, z którego będzie mógł uczestniczyć w życiu oddziału, a jednocześnie tak, by jego wyciąg nie zagrażał bezpieczeństwu innych.

Gdy na sali zjawiała się rodzina Barkerów, wszystko było już przygotowane, a dzieci niecierpliwie oczekiwały Simona.

- Co ci jest? - krzyknął sześciolatek Dawid z drugiego końca sali. - Też masz chorą nogę?

- Biodro - poinformował go Simon.

- Jak to się stało? Ja spadłem z dachu komórki i złamałem nogę. Włożyli mi w nią kawał metalu - chwalił się chłopiec.

- Moje biodro jest chore, nie złamane.

Simon ruszył w stronę łóżka nowego kolegi. Matka chciała go zatrzymać, lecz Hope skinęła głową w przyzwalającym geście.

- Już niedługo nie będzie mógł się ruszać - wyjaśniła półgłosem. - Niech się jeszcze chwilę pobawi z Dawidem, a my chodźmy dokończyć formalności.

Zaprosiła rodziców Simona do swojego pokoju.

- Zapewne są państwo przerażeni, zwłaszcza że będzie to jego pierwszy pobyt w szpitalu, ale zapewniam, że bardzo się staramy, żeby panowała tu miła atmosfera.

- Kiedy są godziny odwiedzin? Mąż pracuje na zmianie, a ja na pół etatu...

- Właściwie mogą go państwo odwiedzać o każdej rozsądnej porze. Przez wzgląd na innych dbamy, żeby w tym samym czasie nie było zbyt wielu odwiedzających. To jedyne ograniczenie.

- Jak długo on tu zostanie? - zapytał ojciec.

- Z tym pytaniem proszę się zwrócić do pediatry. Według podręczników pierwszy etap leczenia...

- To leżenie - wtrąciła pani Barker.

- Tak. Potrzeba od sześciu do piętnastu miesięcy, żeby przywrócić ruchomość stawu. To zależy od stanu. Następnie założymy mu gips, żeby właściwie ustawić główkę kości udowej. Kiedy tylko prześwietlenie wykaże, że wszystko zrosło się normalnie, pacjent może coraz dłużej chodzić bez szyny, aż w końcu będzie zupełnie niepotrzebna.

- On nigdy stąd nie wyjdzie - szepnęła przerażona pani Barker.

- Nieprawda. - Hope uśmiechnęła się serdecznie. - Mam nadzieję, że jego stan szybko się poprawi i wtedy będzie mógł wrócić do domu, a dalej już państwo sami poprowadzą terapię.

- Simon twierdzi, że jedyną dobrą stroną pobytu w szpitalu jest to, że można nie chodzić do szkoły - zażartowała kobieta, starając się ukryć zdenerwowanie.

- W takim razie czeka go przykra niespodzianka - roześmiała się Hope, po czym opowiedziała, w jaki sposób szpital zadba o jego edukację.

Chłopiec tymczasem zaprzyjaźnił się ze wszystkimi dziećmi.

- Będziemy się o niego troszczyć - obiecała Hope. - Czy mają państwo jeszcze jakieś pytania?

- Kiedy zbada go specjalista?

- Simon będzie badany codziennie, czasami nawet kilka razy w ciągu dnia, przez jednego z naszych pediatrów. Niedługo przyjdzie doktor Benedict, którego już zawiadomiono o jego przybyciu. Postarajmy się zwabić naszego pacjenta do łóżka, zanim przyjdzie lekarz!

Godzinę później zjawił się Matthew, porozmawiał z rodzicami Simona, po czym pożegnał się z nimi wyraźnie zadowolony z tego, czego się od nich dowiedział.

- Dobrze zrobiłaś, wyjaśniając im przebieg leczenia. To rodziców bardzo mobilizuje do przestrzegania zaleceń lekarza, gdy dostaną dziecko z powrotem do domu.

- Niedawno mieliśmy tu takiego chłopca...

- Pamiętam, Richard Paige.

Kolejny raz Matthew popisał się swoją nadzwyczajną pamięcią.

- Mam jeszcze świeżo w pamięci, ile razy musiałam powtarzać im to samo. - Obserwowała jego zmęczoną twarz. - Jakież problemy?

- Niestety. - Zacisnął wargi i potrząsnął głową. - Mała Alice jest w złym stanie.

- Co się stało? Operacja...

- Właśnie to mnie męczy. Operacja poszła świetnie, ale mimo antybiotyków Alice ma coraz wyższą temperaturę. Nie wygląda to dobrze.

- Może jeszcze z tego wyjdzie. Bezwiednie przykryła dłonią jego rękę.

- Tu nie wystarczy trzymanie kciuków. Musiałby się zdarzyć cud.

- Matt...

- Hope...

Odezwali się w tej samej chwili, umilkli i zaśmiali się cicho.

Hope przemówiła pierwsza:

- Muszę z tobą porozmawiać.

- A to dlaczego?

- Rozmawiałam wczoraj z Jane.

- Mam propozycję: wpadnę do ciebie wieczorem, ale będę pod telefonem, tym bardziej że stan Alice jest poważny.

- Mogę zostać po dyżurze. Możemy zaryzykować stołówkową kolację.

- I wystawić się na plotki - zauważył. - Od kiedy zwróciłaś mi na to uwagę, uważnie się wsłuchuję i nie mogę wyjść z podziwu. Kiedy na jednym końcu korytarza ktoś kichnie, na drugim już pytają go o zdrowie.

- Wystarczy, że powiemy jednej osobie o ślubie Jane i Edwarda, i będziemy mieli spokój - oznajmiła, dając mu jednocześnie do zrozumienia, że nie spodziewa się zbyt wiele po nadchodzącym spotkaniu.

Obserwował ją w milczeniu, ona zaś odniosła wrażenie, że wrogość między nimi zmalała. Może tylko dlatego, że jest taki zmęczony? A może jest jeszcze szansa, że zostaną przyjaciółmi?

Kiedy cztery godziny później siedzieli przy stole w szpitalnym bufecie nad talerzami zdumiewająco apetycznie wyglądającej sałatki, zabrzączał pager.

- Cholera! - Matt podszedł do telefonu. - Alice... Muszę iść. Pójdiesz ze mną?

- Co jej jest?

Hope natychmiast podniosła się od stołu i ruszyła za nim w stronę wind.

- Wysoka temperatura nie spada, zaczyna się zapalenie płuc. Zanoszą się na blok serca.

- Biedna mała. Można jej dać rozrusznik?

- Nie wiem, czy to jest wykonalne - westchnął, opierając się o ścianę windy. - Chryste, czasami nienawidzę tej roboty.

- To dlatego, że chciałbyś uratować każdego pacjenta - zauważyła Hope.

Współczuła mu z całego serca, świadoma, jak czuje się ktoś, kto zrobił wszystko, co w jego mocy, na wieść, że to nie przyniosło oczekiwanych rezultatów. Matthew pozdrowił rodziców Alice.

- Już do niej idę.

- Chcieliśmy panu coś powiedzieć, zanim pan tam wejdzie - oznajmił pan Harrison i zatrzymał Matta przed drzwiami. - Kiedy pan doktor operował Alice, rozmawialiśmy z personelem. Widzieliśmy, z jakim ogromnym oddaniem wszyscy się nią zajmują, mimo że jest dzieckiem z syndromem Downa.

- To nie ma nic do rzeczy... - zaczął Matthew.

- Zdajemy sobie z tego sprawę - przerwała mu matka dziewczynki, tłumiąc łzy. - Ale nie chcemy, żeby Alice cierpiała niepotrzebnie.

- Żona chciała powiedzieć... - Ojciec mówił z trudem. - Panu powierzamy decyzję, że już nic więcej nie da się zrobić. Kochamy ją, ale nie chcemy, żeby cierpiała przez nasz egoizm.

- Dziękuję. - Matt uściśnął mocno dłonie obojgu.

- Świadomość, że państwo mi ufają, będzie mi bardzo pomocna.

- Zostanę tutaj, z rodzicami Alice - zaofiarowała się Hope.

- Zanoszą się na taki szczęśliwy dzień! - Pani Harrison wytarła nos w mężowską chusteczkę. - Alice przeżyła operację i... - Spojrzała na męża, potem na Hope. - Dowiedzieliśmy się dzisiaj, że będziemy mieli drugie dziecko.

- I wcale nie dlatego powiedzieliśmy doktorowi...
- pospiesznie wyjaśnił jej mąż.
- Oczywiście. To są dwie różne sprawy - przytaknęła Hope.
- Myśleliśmy, że Alice zdąży być starszą siostrą, nim drugie dziecko ją wyprzedzi w rozwoju... zakładając, że nie urodzi się z syndromem Downa.
- Państwo nie należą do grupy najwyższego ryzyka - zauważyła Hope. - Ta sama para rodziców niezmiernie rzadko ma drugie dziecko z tą samą chorobą.
- To i tak nie byłoby ważne. - Pani Harrison uśmiechnęła się przez łzy. - Wiemy już, że potrafimy je kochać i umiemy się nimi opiekować.
- Zrobiliśmy to raz, więc jesteśmy gotowi to powtórzyć. Wierzymy głęboko, że ono będzie równie słodkie jak Alice - powiedział pan Harrison, spoglądając w stronę drzwi, które właśnie się otworzyły.
- Matthew zaprosił ich gestem dłoni. Obserwując go, Hope domyśliła się, że nie miał dobrych wieści.
- Była za mała i za słaba - powiedział, siadając na kanapie w saloniku Hope. - Niepotrzebnie by się męczyła.
- Matthew, tak było najlepiej.
- Racjonalnie do tego podchodząc, wiem, że masz słuszość, ale mimo to...
- Żałujesz, że ktoś ci się wymknął, zwłaszcza ktoś taki kochany jak mała Alice.
- Nie masz pojęcia, o ile jest mi lżej, kiedy wiem, że mnie rozumiesz.
- Ale zdarza mi się zrozumieć pewne sprawy poniewczasie - przyznała się Hope. - Szczególnie jeśli chodzi o Jane.
- Podobno dzwoniła?
- Nie. To ja dodzwoniłam się do niej po kilku tam nagraniach się na automatyczną sekretarkę.
- Jaka ważna. Zdaje się, że ktoś powinien przemówić jej do rozumu.
- Całkowicie się z tobą zgadzam. Zadzwoiłam, żeby ją zawiadomić, że tort jest gotowy.
- Mam nadzieję, że ci podziękowała. Poświęciłaś mnóstwo czasu na te suknie i tort.
- Mhm. Powiedziała: „To dobrze”, po czym poinformowała mnie, że zwróciła się do ciebie z prośbą, żebyś poprowadził ją do ołtarza.

- I co jeszcze?
- Oświadczyła, że to przeze mnie nie zrobi tego jej rodzony ojciec.
- Przez ciebie?! Skąd taki pomysł?!
- Domyślałam się, że babcia powiedziała jej „prawdę” o śmierci Jona: odebrał sobie życie, ponieważ nie kochałam go jak należy.
- Nie przypominam sobie, żebyś mi o tym opowiadała.
- Nigdy nikomu o tym nie mówiłam przez wzgląd na Jane. Nie chciałam, żeby źle o nim myślała.
- Jak on umarł?
- Popęłił samobójstwo, ponieważ zamierzałam donieść policji, że się nade mną znęca fizycznie. Bałam się, że któregoś razu mnie zabije... Prawdopodobnie zrobił to ze strachu, że skompromituje matkę, jeżeli podczas rozprawy wyjdzie na jaw jego homoseksualizm.
- Ale po co jego matka miałaby mówić Jane coś takiego? Przecież to nieprawda.
- Chciała się zemścić. Kilkanaście tygodni po jego śmierci okazało się, że jestem w ciąży. Za wszelką cenę chciałam skończyć studia, żeby utrzymać siebie i dziecko. Matka Jona opiekowała się Jane, kiedy wychodziłam do pracy. Jej pomoc była nieoceniona. Kiedy jednak po jakimś czasie chciałam sama zamieszkać razem z dzieckiem, usiłowała przekonać sąd, że nie nadaję się do roli matki i że to ona powinna dostać Jane pod opiekę.
- Przegrała, ale po jakimś czasie się zemściła - domyślił się Matthew. - Wiedziała, że nie zburzysz złudzeń Jane dotyczących jej ojca.
- Wcale nie chodziło mi o złudzenia Jane, kiedy odkryłam, że usiłuje wygrać jedno z nas przeciwko drugiemu. Okłamała mnie z premedytacją. Chciała, żebym pomyślała, że ty robisz coś za moimi plecami, a potem systematycznie mnie obrażała i lekceważyła wszystko, co starałam się dla niej zrobić. Nie zamierzam pokazywać się na tym ślubie.
- Co takiego?!
- Matt nie wierzył własnym uszom.
- Tak będzie po jej myśli. Zgodnie z obietnicą uszyłam suknie i zrobiłam tort, ale mam wrażenie, że jej zdaniem nie pasuję do jej nowych przyjaciół.

- Jeżeli ty nie pójdziesz, ja też się tam nie pokażę! - W jego oczach błysnęła gniew. - Co za bzdura! Masz pełne prawo być tam obecna... W większym stopniu niż połowa ich gości!

- Ale...

- Żadne ale! - Nie pozwolił jej dokończyć. - Na dodatek nigdy by ci tego nie wybaczyła, bo wszyscy znajomi zaczęliby pytać, dlaczego... Poza tym sama byś sobie tego kroku nie wybaczyła.

- Och, Matthew, to prawda, ale z tego powodu byłoby mi znacznie mniej przykro, niż z tego, że tak źle cię ostatnio traktowałam - wyznała. - Jak ja się za tobą stęskniłam...

- Mnie też ciebie brakowało. - Wziął ją w ramiona. - Przedtem tylko twój zdrowy rozsądek powstrzymywał mnie, żebym nie wybuchnął, gdy tych dwoje stawiało mi coraz to nowe żądania.

- Bardzo mi przykro z powodu tego koszmaru. Ślub nie powinien się łączyć z takimi strasznymi komplikacjami.

- To także moja wina. Jak mogłem nie zauważyć, że przesadzam, rekompensując Edwardowi stratę rodziców? Dając mu wszystko, czego zapragnął, wcale nie byłem hojny. Wręcz przeciwnie, wychowałem człowieka o cechach, które najbardziej mnie mierzą: samolubnego, chciwego...

- Cii... - Hope zasłoniła mu usta dłonią. - On jest młody. Jeszcze się nauczy. Życie go nauczy. A już na pewno wtedy, kiedy postarasz się, żeby poczuł, że musi żyć na własną rękę.

Matthew zamyślił się.

- Jak zwykle masz rację. Mam pomysł, jak mu to uświadomić.

- Jak? Może razem zbojkotujemy tę uroczystość?

- Nie bądź złośliwa. Nie. Pójdziemy razem. Będziemy nawzajem się pilnować, a wraz z końcem przyjęcia zostawimy ich samym sobie. Dostaną to swoje absurdalnie wystawne wesele, ale gdy wrócą z podróży poślubnej, już sami będą musieli troszczyć się o siebie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Ale pech! - mruknęła Hope, spoglądając na ołowiane niebo. - Dlaczego musi padać akurat dzisiaj?! Taka była piękna pogoda!

- Podobno sierpień jest miesiącem słonecznym, ale w Anglii pora roku o niczym nie świadczy.

- Suknia się zniszczy - ubolewała Hope, sadowiac się przed lustrem. - Cały dół się zabrudzi.

- No to co? Przecież nie jest to strój na co dzień. Wystarczy, żeby dotrwała do ostatniego zdjęcia.

- Jesteś obrzydliwie pragmatyczny!

- Chcesz całusa? - Objął ją i obsypał jej szyję pocałunkami. - Zaczynam wierzyć, że twój pomysł, żeby nie iść na ślub, miał swoje dobre strony.

- Dobrze się składa, że Jane i drużny wynajęły pokój w hotelu, w którym odbędzie się wesele.

- Podzielam twoją opinię - szepnął, zerkając w lustro na jej rozmarzony uśmiech. Za nimi odbijało się nowe, wielkie łóżo Hope. - Byłbym nieszczęśliwy, gdybym musiał spędzić tę noc bez ciebie.

Hope zaśmiała się cicho.

- Jane była mocno zdziwiona, że nie upieram się, aby tutaj spędziła swoją ostatnią panięską noc. Spodziewała się, że zaprotestuję.

- Jeszcze się nauczy - rzucił oschłym tonem Matthew, spoglądając na zegarek. - Musimy wyjść za pół godziny, jeżeli mamy zawieźć tort do hotelu, zanim zjawimy się w kościele.

- Ja jestem prawie gotowa. Byłabym gotowa znacznie wcześniej, gdyby ktoś nie zjadł mi całej pomadki z ust i nie zmiotł ubrania tak, że musiałam je prasować po raz drugi.

Spojrzała wymownie na nie pościelone łóżko, pogroziła mu palcem i roześmiała się radośnie.

Przejmujący chłód w kościele przeniknął Hope do szpiku kości. Zziębła, czekając, aż organista zagra utwór, który Jane wybrała na czas przechodzenia do ołtarza. Jedyłą pociechą była myśl, że wkrótce Matthew znajdzie się znowu u jej boku.

W chwilę po tym, jak Edward przejął ramię Jane, Matt usiadł w ławce obok Hope.

- Jak poszło? - zapytała półgłosem. Odpowiedział jej uśmiechem.

- Dlaczego faceci, którzy robią zdjęcia ślubne, zawsze zachowują się tak, jakby filmowali pięciogodziną epopeję? - zapytał Matthew.

- Może im się wydaje, że właśnie to robią - odparła Hope, szczękając zębami. Żałowała, że nie wzięła ze sobą zimowego płaszcza. - Przyjrzyj się, jakim gestem ten facet ustawia ich do fotografii.

- Może masz rację, ale mógłby też być policjantem z drogowki.

Hope miała wielką ochotę się rozeźmiać, tym bardziej że jakaś koleżanka Jane tak bardzo korzystiała z tłoku, by znaleźć się blisko Matta, że ten przesunął się i ujął Hope pod drugie ramię.

- Mało brakowało, a wśląby mi pod marynarkę. W tej samej chwili błysnął flesz. Hope przeraziła się na myśl, że każdy, kto zobaczy to zdjęcie, natychmiast zorientuje się, co ich łączy.

Już w hotelu czekali w nieskończoność, aż państwo młodzi wraz z przyjaciółmi zaproszonymi na okolicznościowego drinka wyjdą z bocznej salki.

- Napijesz się czegoś? - zatroszczył się Matthew.

- Nie mam odwagi. Nic prawie nie jadłam i mogłoby to się źle skończyć.

- Co za kretyński pomysł! Przecież najpierw należy gości przedstawić sobie nawzajem, a potem wszyscy spokojnie zasiedliby do stołu.

Hope starała się go ułagodzić, ale on już ruszył w stronę zamkniętych drzwi. W tej samej chwili młodzi zaczęli wychodzić z salki.

- Nareszcie. - Matthew popatrzył na zegarek. - Czekamy już ponad godzinę. - Podał dłoń Hope.

- Matt... - Szumiało jej w głowie. - Jakoś mi dziwnie niedobrze...

- Głowa na kolana. - Jego głos docierał do niej jak przez mgłę. - Poczuj się lepiej, jak dostanie coś do zjedzenia. Od śniadania upłynęło siedem godzin.

Jej niedyspozycja dała Mattowi pretekst do zmiany rozkładu miejsc przy stole. Usiadł obok niej i pod osłoną białego obrusa ujął jej dłoń.

- Już niedługo - pocieszał ją.

Potrawy wnoszone w ciągu następnej godziny nie umywały się do tego, co jedli w trakcie wspólnych kolacji w innych restauracjach.

Po zimnej zupie, zakrzepłym kurczaku i wyschniętym ryżu podano kleisty sernik. Hope niecierpliwie czekała na swój tort. Miała pewność, że przynajmniej on będzie smakował jak należy.

Uśmiechnęła się znacząco do Matta, po czym popatrzyła na obecnie dwupoziomowy tort, delektując się myślą o losie trzeciej warstwy.

Matthew już wcześniej dał się namówić do wygłoszenia uroczystej mowy. Obiecał jednak Hope, że postara się nie mówić zbyt długo.

- Panie i panowie - zaczął. - Nie jestem wprawdzie ojcem panny młodej ani pana młodego, lecz poproszono mnie, żebym wystąpił in loco parentis obojga. Przyrzekłem, że się nie rozgamam... Wszyscy wiemy, jak nudne są anegdoty o błyskotliwych trzylatkach... - Rozległy się śmiechy. - I dlatego powiem krótko: życzę im tyle szczęścia, na ile zasłużyli.

Rozszalała się burza oklasków.

- Cudowna dwuznaczność - szepnęła mu do ucha Hope, gdy siadał. - Jesteś wstrętny.

- Obawiam się, że niewielu ją pojęło. Usłyszeli tylko to, co chcieli usłyszeć.

Mowa drużby zdawała się ciągnąć w nieskończoność.

W końcu Matthew zaczął niecierpliwie spoglądać na zegarek, aż Hope zaniepokoiła się, czy ich misternie ułożony plan się powiedzie. W pewnej jednak chwili jej uwagę zwróciły słowa wypowiedane przy drugim końcu stołu:

- Ci, którzy mieli okazję zaprzyjaźnić się z Jane, od dawna wiedzą, jak wielkie szczęście dopisało Edwardowi, Jane bowiem jest piękna i inteligentna. Ale dopiero dzisiaj poznaliśmy jej ukryte talenty, czego dowodem jest ta przepiękna suknia ślubna, którą sama zaprojektowała i uszyła...

Oklaski zagłuszyły stłumiony okrzyk zdumienia, jaki wyrwał się z piersi Hope i tylko mocny uścisk dłoni Matta pomógł jej pohamować oburzenie i gniew.

Jane zawłaszczyła sobie nawet to!

Matthew słuchał osłupiały i aż drgnął, gdy dziewczyna z obsługi hotelu dotknęła jego ramienia, mimo że był to umówiony znak.

- Doktorze, mam dla pana wiadomość... Podziękował jej i za plecami Jane zwrócił się do Edwarda:

- Dostałem wiadomość ze szpitala. Musimy natychmiast jechać.

- O, nie! Tego nam nie zrobicie! - jęknęła Jane. - To jest nasze wesele...

- Na pewno będziecie lepiej się bawić bez nas - rzucił Matt dyplomatycznie, po czym pocałował ją zdawkowo w policzek. - Zobaczmy się, jak wrócicie z podróży poślubnej.

Chwycił Hope pod ramię i wyprowadził z sali.

Zaśmiewając się, biegli do samochodu niczym dzieci wypuszczone ze szkoły na wakacje.

- Recepcjonistka nas widziała - rzuciła Hope, zapinając pasy.

- Na pewno jest pełna uznania dla lekarzy i pielęgniarek, którzy tak się spieszą do swoich pacjentów.

- Dlaczego to trwało tak długo?

- Nie mam pojęcia. Dowiem się, jak wrócimy.

- Zdamy?

- Mamy jeszcze mnóstwo czasu. - Uśmiechnął się, ujął jej dłoń i wycisnął na niej pocałunek. - Czy mówiłem pani ostatnio, że panią kocham, pani Benedict?

- Myślisz, że nam wybaczą? - zapytała Hope, gdy Matthew nalewał jej szampana.

- Prawdę mówiąc, moja droga, niewiele mnie to obchodzi.

Ułożył się wygodnie na poduszkach i przyciągnął ją do siebie. Wpatrywali się w rozgwieżdżone niebo nad historycznymi budowlami.

- Czy tak to sobie wyobrażałaś?

Wskazał na sylwetkę wieży Eiffla, rysującą się na bledszym tle budynków.

- Rzeczywistość jest o wiele piękniejsza - szepnęła, przytulając się do niego. - Nie wyobrażałam sobie, że będę ją oglądała, leżąc skąpo ubrana u boku swojego męża.

Ciepły, sierpniowy wietrzyk wydymał firanki, niosąc ze sobą zapach kwiatów z pobliskich ogrodów.

- Czy już ci podziękowałam za mój kwiat? Poglądziła go po policzku, wspominając chwilę, gdy dwa dni wcześniej Matt podawał jej jedną różę, nim sami ruszyli do ołtarza.

- Owszem, ale nie będę miał nic przeciwko temu, jeżeli podziękujesz mi jeszcze raz.

Uniósł szelmowsko brwi.

- Może kawałek tortu? Widziałeś, jaka Jane była wściekła, kiedy się zorientowała, że jej tort ma tylko dwa piętra?

Ich beztroski śmiech był oznaką, że rany zaczynają się goić.

- Byłem bardziej przejęty tym, że nie zdążą nas wywołać na czas i spóźnimy się na lotnisko - odparł. - Lepiej, żeby Shaunessy przygotował sobie porządne usprawiedliwienie, bo inaczej nie zaproszę go na nasze kolejne wesele.

- Kolejne?

- Czekałem tak długo... Wiesz, to pierwsze spodobało mi się tak bardzo, że mógłbym brać ślub na przykład co rok... Nie, co miesiąc, jeżeli zawsze będzie taki tort.

- Świetnie. Mogę go piec co miesiąc, pod warunkiem że za każdym razem dostanę taką podróż poślubną - odpowiedziała ze śmiechem. - Nasz ślub był o wiele ładniejszy.

- Oczywiście. Miałeś rację, mówiąc o tej różnicy. - Odstawił kieliszki na stół. - Nasza szpitalna kaplica jest wprawdzie skromna i funkcjonalna, ale obecność bliskich nam osób sprawiła, że panowała tam atmosfera ciepła i przychylności.

- Zauważ, że Tim Shaunessy nie spóźnił się z obrączkami - przypomniała mu, od nowa podziwiając swą złotą obrączkę, włożoną obok zaręczynowego pierścionka z brylantem i szafirem. - Poza tym Tim i Maggie przyszli z aparatami fotograficznymi...

- I nie ustawiali nas jak do kolejnej wersji „Ben Hura”.

Do ślubu Hope szła w jedwabnym, niebieskim kostiumie, który uszyła z myślą o ślubie Jane i Edwarda, Matthew zaś w wytwornym, ciemnym garniturze. Większość gości natomiast wystąpiła w strojach szpitalnych.

- Wszyscy się dopytywali, jak myśmy to zrobili, że nikt niczego się nie domyślał!

Hope śmiała się, opierając głowę na jego piersi.

- Dotrzymam słowa, Hope - odezwał się Matt poważnym tonem. -
Dotrzymam tej przysięgi.

Pocałował ją delikatnie w usta.

- Och, Matt - westchnęła. - Cieszę się, że rozumiesz, czym dla mnie jest prawdziwe małżeństwo. Takie jak nasze: związek dwóch osób, które znają się i kochają z powodu zalet i pomimo wad.

Zerknęła na obrączkę. To tylko symbol. Jak ta kremowa róża, którą dał jej Matt, gdy szli do ołtarza. Cenne, lecz kruche pamiątki, mało istotne, gdy ma się u boku człowieka, któremu można zaufać.

- Skąd przyszedł ci do głowy ten pomysł, żeby spędzić weekend w Paryżu? W takim hotelu! Chyba najlepszy w całej Francji.

Przypomniała sobie swoje zdumienie na widok tego budynku, gdy wysiedli z taksówki.

- Uważam, że na to zasługujesz, Hope - odparł poważnie. - Dajesz z siebie tak dużo innym: pracę, serce, pieniądze, i nigdy nie myślisz o sobie. Od tej chwili do końca życia będę ci udowadniał, że nie ma w tobie niczego pośledniej jakości. Nie żałuję, że tak długo na ciebie czekałem...